

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI

Warszawa, 10 września 1950 r.

Nr 36 (250)

Zbigniew KUBIKOWSKI

BATALIA O TERAŹNIEJSZOŚĆ

1.

W czasie pewnej, dość ożywionej dyskusji słyszałem pisarza, który przyznał, że nie potrafi napisać powieści współczesnej. Za mało tę współczesność zna, nie zgłębił jej i dostatecznie nie rozszyfrował, a tym samym nie zuje się w prawie do przejścia z niej tworzywa literackiego.

Przy innej okazji słyszałem innego pisarza. Dowodził, że sprawę należy postawić prosto i jasno: pisarz katolicki pisze powieści niekatolickie, wydaje je i jest w porządku. Bo katolicyzm trudno narazie zorientować wyraźnie w jakimś kierunku.

Przytaczam te sądy na wstępie, bo, obok trzeciego, wydają mi się typowe. Powtarzane przez niektórych pisarzy mogą czasem znaleźć usprawiedliwienie w ich jednostkowych wypadkach. Nie mogą jednak stać się zasadą, usprawiedliwiającą zupełną dowolność, zupełną „swobodę” twórczą, jak się okaże, swobodę bardzo podejrzanego gatunku. Od przyjęcia takich właśnie założeń krok tylko do trzeciego, mało już typowego sądu, od którego wyznawcy poprzednich na pewno by się zdecydowanie odcięli. Myślę o przegranej sprawie autonomii i niezależności sztuki, o swobodzie w zakresie konstrukcji losu bohatera, niezbyt serio oglądającego się na rzeczywistość. Sąd ten ustępuje jednak dwóm poprzednim: oporom przy sięganiu po tematykę do współczesności i rezygnacji pisarza z katolicyzmu jego tekstów.

Zarówno pierwsza, jak i druga pozycja jest pozycją odwrotną. Prowadzi do milczenia, a tym samym do negacji zadań pisarskich.

Współczesną powieść niekatolicką tworzą w większości pisarze młodzi. To skutek nie tylko większej świeżości spojrzenia, większej siły bezpośredniego przeżycia.

Na wielu starszych pisarzach ciąży relikw kultury literackiej dwudziestolecia, w której stawiali pierwsze kroki, często do dziś dnia nie umiając wydobyć się z jej zasięgu. Rzeczywistości jednak nie można już deformować — do jej kształtowania na tworzywo literackie potrzebne są inne narzędzia, niż te, których dostarczała starszym pisarzom mieszczańska literatura dwudziestolecia. Zmienić używane narzędzia nie jest łatwo. To pierwsza przyczyna oporów.

Katolicka powieść dwudziestolecia nie pozostawia zbyt mocnych tradycji. Powieści tego okresu były niewystarczające: w większości wyznaczały swoją społeczną funkcję.

Własnej twórczości i przedstawienie jej na tory zupełnie nowe — to drugie

źródło oporów wobec podjęcia tematyki współczesnej.

Opory te nie wydają się zbyt groźne, ani zbyt trudne do usunięcia. Ale już w konsekwencji tej postawy wyklucza się typ „katolickiego” pisarza, wydającego zgola niekatolickie książki i przeliczającego z zadowoleniem honoraria.

2.

Niezdeterminowanie przybiera często maskę egzotyku. Nie jest ważne, jakiego gatunku jest ta egzotyka — wystarczy stwierdzenie stopnia jej ważności.

Tu zastrzeżenie: uwagi te nie są skierowane pod żadnym konkretnym adresem. Mają one charakter rejestru faktów generalnych przyczyn wytworzonego stanu i jego odskoczni. Nie można zażądać od imiennie wymienionych autorów, książek o współczesności.

Zamówienie społeczne nie ma i nie może mieć charakteru pewnej ilości tematów, rozdanych do opracowania. Piękne osiągnięcia choćby powojennej powieści historycznej przeczyłyby posądzeniom o jakąkolwiek mechanizację zagadnienia. Powstanie katolickiej powieści współczesnej związane jest z szeregiem faktów, tworzących konsekwentny łańcuch, ukazujących jasne punkty wyjścia. Tu jeszcze jedna uwaga. Nie wystarczy przytakiwać powszechnie przetykającym i oczywistym już twierdzeniom. Trzeba mieć odwagę wyciągnąć z nich wnioski. Nie można robić wyjątku od nich dla siebie i najbliższych przyjaciół, nawoływać do realizacji generalnych tez, a samemu zakładać autonomię sztuki dla prywatnego użytku i swobodę pisarza jako kłapę bezpieczeństwa dla potknięć pisarskich.

U podstaw takiego stosunku do literatury leży beztrąsko pomijane zagadnienie społecznej funkcji tekstu literackiego. Tekst ten, kształtujący świadomość odbiorcy, wywierający nań wpływ określony i konkretny, nie może przepływać w świadomości tego odbiorcy nurtem oddzielnym, równoległym do jego spraw, obowiązków i zadań. Pojęcie jednolitości życia, w którym literatura jest tylko jednym z elementów naczelnych, prowadzić powinno do rozumienia literatury, jako odpowiedzialnego współtwórcy świadomości odbiorcy a przez to jego życia jednostkowego i społecznego. Dalej, jeżeli literatura będzie odpowiedzialnym współtwórcą życia, to, po pierwsze: z tegoż życia musi wyrastać, musi być jego najwyższym uogólnieniem. Po drugie: literatura, w ten sposób pojmowana, musi utrzymywać z życiem kontakt bezpośredni i stały, musi również poznać procesy tego życia, będące z kolei w

swoim najszerszym wymiarze procesami historycznymi. Po trzecie: jeżeli pisarz, pragnący przez swoje teksty oddziaływać na świadomość czytelnika, a przez to na bieg życia społecznego, musi poznać procesy tego życia, to te procesy powinny być również punktem wyjścia jego twórczości. Innymi słowami, *rozumienie historii powinno być motorem działalności pisarza*. Utwór literacki nie powstał nigdy w próżni. Jego powstanie i wziętość tkwiły zawsze w pewnej określonej, historycznej epoce. Wyczucie pulsu tej epoki, obnażenie go i postawienie w perspektywach możliwie najszerszych, to stałe, kapitalne zagadnienie pisarskie.

Jeżeli zadaniem pisarza jest najwyższe uogólnienie życia w ściśle określonym czasie i miejscu, dokonywane z jak najszerszych perspektyw — to na pisarzu katolickim ciąży tu obowiązek najtrudniejszy. Umiejętność ustawienia obserwowanej i opisywanej rzeczywistości w granicach światopoglądu katolickiego, jasne określenie stosunku tych dwu zakresów wymaga nie tylko czujności wobec wszelkich przejawów życia, nie tylko mocno ugruntowanej i wciąż pogłębianej wiedzy. Wymaga także jaknajściślejszego kontaktu z terenem, kontaktem nie biernego, a aktywnego, co dopiero pozwala na dotarcie do sprężyn ludzkiego działania, w którym wyraża się ludzka świadomość. Tworzenie własnych, wyabstrahowanych konstrukcji losu bohatera, wyciąganie nietypowego tematu na szerokość tezy, nie zawsze aktualnie najpotrzebniejszej, wytworzenia wokół pisarza pustki, zaludnionej tylko fikcyjnymi postaciami, za mało typowymi, za mało odpowiadającymi potrzebom odbiorców, aby mogły stanąć w ich szeregach jako wzory i jako typy równocześnie.

Zamówienie społeczne nie zacieśnia swobody pisarza katolickiego. Przeciwnie: daje mu jedyną i niepowtarzalną okazję współtworzenia rzeczywistości. To współtworzenie rzeczywistości jest z kolei nakazem światopoglądu katolickiego, wypływającym z jego istoty, jako prawdy, organizującej życie i uczące życia.

Wnioski są proste. Po pierwsze: zdając sobie sprawę ze społecznej funkcji literatury, należy ją związać z konkretnym czasem i miejscem, to znaczy rozumieć potrzeby czasu, zając wobec nich zdecydowane stanowisko, dając mu wyraz w twórczości. Po drugie: aby wypełnić rolę współorganizatora życia należy z tym życiem nawiązać jak najściślejszy kontakt i przez umiejętność syntezy obserwowanych zjawisk doprowadzić do ich wyraźnego ustawienia w kategoriach światopoglądu katolickiego.

3.

Pierwszym warunkiem jest umiejętność patrzenia. Musimy pozbyć się złudzeń. Nie ma tematów nudnych i ciekawych. Są tylko tematy łatwe i trudne. Wartość opracowania tematu nie zależy tylko od jego wyboru — zależy przede wszystkim od tego, w jakim stopniu pisarz potrafi w obserwowanym przez siebie odcinku rzeczywistości wykryć refleksy najważniejszych zagadnień czasu. Wartość opracowania tematu zależy w dalszym ciągu od sposobu, w jaki pisarz wcieli w indywidualne i niepowtarzalne losy swoich bohaterów odkryte w ich zakresie działania kluczowe zagadnienia epoki.

Od zrozumienia tej prostej, częstokroć w różnych formach powtarzanej tezy zaczyna się droga do teraźniejszości. Drugi jej etap stanowi określenie własnego stanowiska wobec omawianego zagadnienia. Stanowisko to, oparte o gruntowną wiedzę filozoficzną, o założenia wyznawanego światopoglądu, podane być musi zarówno w konstrukcji losu bohatera, jak w kompozycji utworu, czy nawet jego języku.

Stanowisko to, w dalszym ciągu, musi być produktem koncepcji historii autora, produktem jego światopoglądu.

Rozszerza to zakres tematyki w czasie. Czy w sposób zupełnie dowolny? Jaki jest stosunek wymagań współczesności do narzędzi, przekazanych przez tradycję, do treści tej tradycji literackiej? Wydaje mi się, że sąd dużej części pisarzy katolickich o tej sprawie scharakteryzować można cytatem ze studium Stefana Czarnowskiego „Własność a teraźniejszość w kulturze”. (St. Czarnowski, „Kultura”, Książka, 1946).

„Twórca — poeta czy pisarz — jest właściwie przetwórcą, jest interpretatorem dawności w kierunku, wymaganym przez teraźniejszość, względnie jest tym, który teraźniejszość kształtuje artystycznie, ukazując ją w formie dawnej.” Bo „...wątków powieściowych jest przecież ilość ograniczona i bodaj że wszystkie są przekazane, jako dziedzictwo przeszłości” — mówi Czarnowski, a wielu sądzi podobnie.

Historia powieści nie jest jednak historią wątków powieściowych. „Interpretacja dawności w kierunku, wymaganym przez teraźniejszość” nie polega na modernizacji scenarii i stylów. Teraźniejszość określa linie, po których rozwijać się powinna powieść — ale rozwój nie sprowadza się do interpretacji przekazanych wątków i rodzajów. Droga rozwojowa jest drogą twórczą, na której „elementy dawności” schodzą do roli rekwizytów. Istotna treść

musi być nowa, tak, jak tego wymagają nowe potrzeby teraźniejszości.

Zwrot w stronę historii nie rozwiązuje palących potrzeb, schodzi na drugi plan. I to bez względu na to, czy autor „ukazuje teraźniejszość w formie dawnej” — czym nie wypełnia w zasadzie możliwości powieści historycznej — czy też dokumentuje swoim tekstem wyznawaną koncepcję historii w zakresie obranego czasu i miejsca, co właśnie możliwości rodzaju wyczerpuje.

Twórczość historyczna — potrzebna i cenna — nie może jednak być jedyną. W tym leży źródło wielu nieporozumień, po tej linii idą wymagania czasu.

4.

Niezmienna perspektywa powieści katolickiej, perspektywa katolickiego widzenia rzeczywistości, posiada różne zakresy widzenia, równie ważne i równie potrzebne. Człowiek, centralny ośrodek zainteresowania, bez względu na to, w jakich formacjach społeczno-gospodarczych żyje, pod jakim stopniem szerokości geograficznej przeżywa, posiada bogate życie wewnętrzne, obfitujące w wartości ponadczasowe, stale żywe i aktualne. Osią tego zagadnienia będzie dla pisarza katolickiego stosunek człowieka do Boga. Jeżeli nie zmieniając perspektywy poszerzymy zakres widzenia, wkroczyliśmy w dziedzinę stosunków międzyludzkich, w dziedzinę spraw politycznych, społecznych i gospodarczych. Ośrodkiem badania stają się zespoły ludzkie w ich wzajemnym oddziaływaniu i rozwarstwieniu, w ich antagonizmach społecznych i politycznych, w ich walece.

Stwierdzenie to może się wydawać niezgodne z poprzednimi uwagami. Należy więc zastrzec: rzecz sprowadza się jedynie do rozłożenia akcentów. Nie ma wątków osobistych zupełnie wyłączonych od czasu. Ale zakres widzenia, centrum uwagi spoczywa tu na człowieku, na jego sprawach niezmiennych, kontekst społeczny i polityczny pograżając w półcieniu, w którym rozróżnia się kontury, ale nie wysuwa się ich na czoło. I tu sposób obnażenia problemów niezmiennych w ich formie, uwarunkowanej czasem, stanowić będzie o wartości ich uzewnętrzenia. Kapitalnym przykładem będzie w tym zakresie choćby „Sedno sprawy” Greene’a. Ataki na te książki były atakami na jej założenia światopoglądowe, co sprowadza rzecz na inne płaszczyzny. Niemniej, uznając w całej rozciągłości wartość tego typu utworów, przyznać należy, że typ drugi jest aktu-

(dokończenie na str. 10-tej)

I POLSKI KONGRES POKOJU

Jest piątek 1 września 1950, godz. 10-ta. W auli Politechniki Warszawskiej zajmuje miejsce 1300 delegatów wybranych na I Polski Sejm Pokoju. Za chwilę prof. Jan Dembowski cichym, nie efektownym głosem uczonego otwórzę Kongres, który wytyczy dalszą drogę polskiemu ruchowi pokoju.

Politechnika — maly fragment odbudowywanej Warszawy. Kilka lat temu wstecz sterczały tu tylko ponure, wyopalone mury. Teraz tętni życie jednej z największych uczelni technicznych w kraju. Dziś przyjechali tu ludzie różnych przekonań, różnych zawodów i stanowisk — przyjechali bronić własnego życia. Przyjechali swą stanowczą wolą przekreślić złe machinacje, fałszywe rachuby i bierne załamywanie się przed „koniecznością” wojny. Przyjechali dołączyć się do milionów głosów tych, którzy różnymi sposobami i w różnych okolicznościach walczą o prawo ludzkości do życia.

DIAGNOZA I WNIOSKI

Zasadniczy referat wygłasza min. Adam Rapacki, wice-przewodniczący Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju.

Pierwsza część referatu min. Rapackiego poświęcona jest diagnozie sytuacji

„W świecie ginącego kapitalizmu — mówi min. Rapacki — w świecie imperializmu panują prawa, które pchają do wojny. Coraz częstsze i głębsze kryzysy skłaniają wielki kapitał do szukania ratunku w zbrojeniach, w wojnie i podbojach.

Dziś imperialiści amerykańscy starają się skierować wszystkie dążenia wojenne kapitalistycznego świata przeciw Zw. Radzieckiemu, przeciw całej wyzwoleonej z kapitalistycznego jarzma części świata. Niezależnie od tego sobie nawzajem rzuciliby się do gardła, aby wydzierać sobie rynki i kolonie. W samym sednie ich ustroju, w wyzysku — tkwią przyczyny wojny”.

Jednakże — jasno i niedwuznacznie stwierdza mówca — „Pokojowe współżycie z krajami kapitalistycznymi jest możliwe, jeśli zmusi się je do szanowania pokoju. Trzeba im narzucić pokój. Dokonać tego można przeciwstawiając im taką siłę, której nie odważą się zaczepić. Można im też uniemożliwić napad”.

Militarnemu nastawieniu obozu imperialistycznego przeciwstawia referent pokojowe tendencje obozu socjalistycznego — „W samym sednie ustroju socjalistycznego i ustroju budowy socjalizmu tkwią przyczyny trwałego pokoju. Nie mogą nas skłaniać do napastniczych wojen ani rynki zbytu, ani cudza ziemia, bogactwa, niewolnicze ręce robotnicze. Nie jest to nam potrzebne”.

Nawiązując do rozpowszechnionych tendencji fałszywego utożsamiania ciśnienia rewolucyjnego z groźbą wojny mówca przypomina, że „marksizm mówiąc o rewolucji światowej wszędzie stwierdza, iż socjalizm może powstać tylko tam, gdzie dojrzewa wewnętrzna siła, które będą zdolne go urzeczywistnić. Nie można socjalizmu przynieść z zewnątrz na bagnietach. Marksizm stwierdza również, że kapitalizm i imperializm ustąpią z powierzchni świata, ale nie znaczy to wcale, że upadają, muszą koniecznie pociągnąć za sobą milionowe ofiary w katastrofie wojennej”.

Z kolei omawia min. Rapacki wydarzenia polityczne związane z mieszaniem się imperialistów w wewnętrzne sprawy narodów w Korei, na Formozie i w Wietnamie, z remilitaryzacją i podsycającą tendencją odwetową w Niemczech Zachodnich. Tym wszystkim antypokojowym tendencjom przeciwstawia się ruch obrony pokoju. „Z wydarzeń i faktów — stwierdza min. A. Rapacki — charakteryzujących zachowanie się obozu imperialistycznego w obecnej fazie walki o pokój, wypływają następujące wnioski:

Wniosek pierwszy: w obliczu niepowstrzymanego wzrostu siły obozu pokojowego najbardziej zacieśnia grupę imperia-

listów przyspiesza przygotowania wojenne.

Wniosek drugi: w obliczu rosnących sił pokoju i w obawie przed rosnącym ryzykiem klęski, mnożą się objawy otrzeźwienia na dość szerokich kołach kapitalistów, zwłaszcza europejskich.

Wniosek trzeci: obóz imperializmu w obliczu przewagi i wzrostu sił pokoju różniczkuje się: z jednej strony wylania się topniejąca, ale coraz bardziej zażarta grupa awanturników, z drugiej — przeciwstawiać się jej gdzie coraz szersza grupa kapitalistów, przede wszystkim w krajach opanowanych przez imperializm amerykański.

Wniosek czwarty: aby zapobiec wojnie, nie wystarczy „jakakolwiek” przewaga sił pokoju. Potrzebna jest decydująca przewaga, wobec której nie ośmieli się napaść nawet awanturnik.

Wniosek piąty: obok siły zwycięskiego i budującego się socjalizmu, potężną siłą obozu pokoju jest opór mas w świecie kapitalistycznym przeciw wojnie.

Wniosek szósty: konkretnym bojowym zadaniem ruchu obrońców pokoju — w obecnym okresie zaostrzonej walki o pokój — jest: jeszcze szybciej zmobilizować wszystkie siły mas do walki o siłę świata socjalizmu i demokracji ludowej — do walki o zadania produkcyjne. Jeszcze szybciej zmobilizować wszystkie siły mas świata kapitalistycznego do oporu przeciw imperialistycznym przygotowaniom do napaści wojennej.

Kończąc mówca stwierdza:

Być obecnym w walce — spełnić swój obowiązek — a przede wszystkim zwyciężyć — to punkt honoru osobistego i narodowego, to słuszny przedmiot najszlachetniejszej dumy narodowej polskich obrońców pokoju”.

PRZEMAWIAJĄ DELEGACJI ZAGRANICZNI

W ramach obrad Kongresu zabierali głos serdecznie witani delegaci zagraniczni.

Gabriel d'Arboussier, wiceprzewodniczący Stałego Komitetu Światowego Kongresu Obrońców Pokoju, nawiązał do niedawno podjętych uchwał w Pradze

Znany pisarz Alesander Korniejczuk przekazał I Polskiemu Kongresowi Pokoju pozdrowienia od narodów ZSRR i radzieckiego ruchu obrońców pokoju.

Następnym mówcą zagranicznym jest delegat koreański plk. Kan-Buk — który naświetla Kongresowi tło wyzwoleńczej walki swego narodu.

Delegat czechosłowacki przyniósł Kongresowi pozdrowienia od bratniego narodu słowiańskiego. Franz Dahlem, przedstawiciel niemieckiego ruchu pokoju mówił: „My, Niemcy, zdajemy sobie sprawę, z jakimi uczuciami i myślami wszyscy Polacy wspominają w dniu 1 września hitlerowskie Niemcy.

Przybyliśmy jednak do Warszawy w tym dniu 1 września 1950 r. jako Niemcy zwiastunowie pokoju, aby was uroczyście zapewnili, że nigdy już nie nastąpi od wschodnich granic Niemiec agresja przeciw narodowi polskiemu, przeciw narodowi Zw. Radzieckiego i innym narodom.

Przyjaźń między Polską Ludową a Niemiecką Republiką Demokratyczną została przypieczętowana ustaleniem granicy nad Odrą i Nysą, jako granicy pokoju między obu krajami”.

Omawiając sytuację w Niemczech Zachodnich — delegat niemiecki stwierdza — „Mamy wszelkie powody po temu, aby alarmować świat, że te same bestie hitlerowskie, które sprowadziły nieopisane nieszczęście na narody Europy — ponownie, tym razem pod kierownictwem amerykańskim, zostają wysunięte w Niemczech Zachodnich na

kierowników zbrojeń i na przywódców najemnych oddziałów organizowanych w celach agresywnych.

To co się teraz dzieje w Niemczech Zachodnich jest żywą sprawą wszystkich narodów zarówno na Wschodzie jak i na Zachodzie Europy. Ale przede wszystkim jest to żywą sprawą samego narodu niemieckiego”.

Wśród szczerych i żywiołowych oklasków zabrała również głos znana pisarka i działaczka Wanda Wasilewska.

DWIE DELEGACJE

Przemówienia jakie wygłoszono w toku dyskusji nad referatem A. Rapackiego obracały się wokół trzech zasadniczych punktów: 1) diagnozy sytuacji, 2) mobilizacji wszystkich sił do walki o pokój, 3) wytyczenia właściwych w Polsce metod tej walki.

Przemawiali przodownicy pracy, naukowcy, chłopcy, gospodynie, literaci, księża, działacze społeczni i przedstawiciele młodzieży. Raz po raz na salę wkraczały delegacje przynosząc meldunki z frontu produkcyjnej walki o pokój. Twardym głosem meldował Kongresowi murarz warszawski, Władysław Rajtarczyk o osiągnięciach robotników w budowie nowej stolicy. Helena Wieczorek ze Spółdzielni Produkcyjnej w powiecie kościańskim z właściwą polskiej chłopce swadą opowiadała Kongresowi o osiągnięciach swej placówki produkcyjnej i o zaletach nowej formy gospodarki rolnej. Józef Kraj z młodzieżowej delegacji SP z Nowej Huty dumnym głosem budowniczego miasta dla załogi największej huty planu 6-letniego meldował o wysiłku młodzieżowych brygad pracy.

Były jednak dwie delegacje, których głos na tej sali i na tym Kongresie miał specjalną wymowę.

Delegacja matek. Zofia Paszkowska, która w ostatniej wojnie straciła dwóch synów, robotnicą PPRK w Mińsku Mazowieckim, staje na trybunie. Drżący wzruszeniem ale mocny głos rzuciła słowa — „Nie pozwolimy rozpętać nowej wojny. W imieniu wszystkich matek mogę wyrazić to, co jest najbliższe sercu matczynemu — pokój”. Ten głos nakazywał szacunek.

Delegacja dzieci. Warszawscy harcerze i harcerki przychodzą tu z kwiatami i transparentem, na którym umieścili napis: „Brońcie trwałego pokoju — naszego szczęścia, radości, nauki”. Miał słuszną potęgę Wojciech Kętrzyński, gdy w swoim przemówieniu stwierdził, iż czuło się, że głosami dzieci przemawiało na tej sali do świata sumienie.

NAUKA I SZTUKA MA SŁUŻYĆ CZŁOWIEKOWI

Walka o pokój, od pierwszych dni powstania światowego ruchu Obrońców Pokoju, nierozdzielnie związana się z żądaniem skierowania wielkiego odkrycia umysłu ludzkiego, energii atomowej dla celów pokojowego budownictwa, z żądaniem zakazu używania i produkowania broni atomowej. Toteż z wielkim zainteresowaniem wysłuchali zebrani przemówienia znakomitego fizyka polskiego prof. Stefana Pieńkowskiego. Zarówno on jak i dwaj inni naukowcy rektor Kuleżyński z Wrocławia i rektor Goetel z Krakowa z głęboką troską domagali się szanowania pracy uczonego. To zaś znaczy — osiągnąć nauki nie wolno obracać przeciwko człowiekowi.

Pięknym momentem obrad była chwila, gdy na trybunie kongresowej stanął znakomity mistrz polskiej sceny Aleksander Zelwerowicz, posiwiły w służbie polskiej sztuki. — „My, robotnicy polskiej sztuki, jesteśmy dumni, że wolno nam będzie użyć jej oręża w obronie pokoju” — zakończył swe świetne przemówienie Zelwerowicz. Ta sama

nuta dominuje w przemówieniu reżysera, prof. Wnuka i znanego kompozytora A. Panufnika.

ANTYPOKOJOWE WYSTĄPIENIA PRASY EMIGRACYJNEJ.

„Myśli nasze jak stada gołębi pokoju — powiedział Jarosław Iwaszkiewicz — lecą ku tym, którzy pokój budują, przede wszystkim do tych, którzy na Korei, w Wietnamie i na Malajach za pokój przyszłych pokoleń placą daniną krwi”. Nie wolno jednak zapominać o intrygach tych, którzy są przeciwni pokojowi. Iwaszkiewicz poświęca swe przemówienie antypokojowym wystąpieniom polskiej prasy emigracyjnej. — „Zartobliwy ton dawnego felietonisty „Kurierka Krakowskiego”, autora artykułu pt. „Savoir-vivre na wypadek wojny atomowej”, który wycekiwany przez siebie kataklizm z uśmiechem nazywa „światówką nr 3”, ten publicysta, który ongi „rozumiał” morderstwo prez. Narutowicza, a dzisiaj zaciera ręce wspaniały przyszły morderstwa i ludobójstwa — odpowiedział, zdawałoby się człowiek, który powiada, „że nie miałby nic przeciwko temu, aby Amerykanie rzucili któregoś dnia kilka bomb atomowych” — oto okazy z tego panopticum potworności.

Równie ostro piętnuje te i tym podobne wystąpienia prasy emigracyjnej Wojciech Zukrowski.

APEL DO BRACI NA OBCZYŻNIE

I Krajowy Kongres Pokoju bezwzględnie potępiając wystąpienia reakcyjnej prasy emigracyjnej odcina jej postawę od mas Polaków na obczyźnie, przede wszystkim tych, którzy znaleźli się tam na skutek braku pracy w kraju, na skutek wad starego ustroju. Na wniosek Wojciecha Kętrzyńskiego jednomyślnie uchwała Kongres — „Apel do braci na obczyźnie”, wzywając ich w szeregi walczących o pokój.

POD ZNAKIEM JEDNOŚCI

Wobec problemu, wojna czy pokój nie powinno, nie może być różnic między uczciwie myślącymi ludzmi bez względu na światopogląd i przekonania społeczne. Katolicy stają w jednym szeregu ze swymi braćmi niewierzącymi, z marksistami, w walce o prawo do spokojnego życia.

„W historii Polskiego Ruchu Obrońców Pokoju katolicy mają swój wkład — stwierdza Wojciech Kętrzyński. — Od chwili uchwalenia w Sztokholmie apelu przeciw bombie atomowej wiele już zostało zrobione, by przeciwstawić się na tym odcinku propagandzie wojennej, by zmobilizować do walki o pokój cały potencjał sił katolickich. W okresie propagandy Apelu trzeba było przewyciężyć wiele przesądów, wiele nieufności, wiele nieporozumień. Wyniki akcji — miliony podpisów, udział znacznej większości duchowieństwa, akces Episkopatu polskiego, liczne i zdecydowane pokojowe demonstracje katolików świeckich dowodzą, że potrafiliśmy pokonać trudności.

Obrona pokoju jest wspólnym zadaniem wszystkich uczciwych ludzi i w Ruchu Obrońców Pokoju znajdzie swe miejsce każdy, bez względu na swe przekonania, byleby uczciwie i konsekwentnie chciał o pokój walczyć.

Przez wzgląd na ten dogłębnie ludzki i moralny nakaz walki o pokój — sprawa ta powinna być specjalnie bliska masom katolickim, które przykazania miłości bliźniego stawiają na pierwszym miejscu swego światopoglądu. Być katolikiem, być prawdziwym katolikiem, to jeszcze jeden argument więcej, to decydujący argument dla wzmo-

żenia udziału w światowej akcji w obronie pokoju. Nie wziąć udziału w tej akcji, to sprzeniewierzyć się, świadomie czy też nieświadomie, głoszonemu zasadom, to zaprzeczyć naczelnemu przykazaniu chrześcijańskiej miłości.

Reakcyjny obóz wojenny uświadamia sobie nadto dobrze, czym mu może grozić powszechna mobilizacja mas chrześcijańskich w obronie pokoju. Obóz agresji operuje w tej części świata gdzie kultura chrześcijańska pozostawiała najmocniejsze, najtrwalsze ślady. Dlatego właśnie propaganda obozu podżegaczy wojennych postawiła sobie za jeden z pierwszych celów — odwrócić uwagę ludzi wierzących, zastraszyć ich wizją ogólnych prześladowań religijnych, stworzyć psychozę krucjaty, dzięki której religia miałaby stać się właśnie narzędziem sprawy wojennej, a nie pokoju.

Przed masami chrześcijańskimi na całym świecie stoi dziś już więc nie tylko zadanie osobistego, obywatelskiego świadectwa na rzecz pokoju, ale ponadto — obowiązek przeciwstawiania się, pokrzyżowania groźnej propagandy wojennej, szerzącej się podstępnie, perfidnie i groźnie w masach ludzi wierzących.

Polska, kraj ludzi w ogromnej większości wierzących i katolików, a zarazem kraj walczący w obozie pokoju, kraj realizujący u siebie zręby ustroju socjalistycznego, jest bardziej niż każdy inny naród powołana do tego, by udowodnić światu kłamliwość propagandy wojennej wśród chrześcijan, by przeciwstawić się i przełamać psychozę krucjaty”.

Nawiązując do udziału katolików w akcji obrony pokoju mówca stwierdza — „Błędem by było spoczywać na laurach. Wiele nam jeszcze pozostaje do zrobienia i trzeba dziś postawić sobie zadanie uaktywnienia w ramach tak pięknie rozwijającego się w Polsce Ruchu Obrońców Pokoju jak najszerzej kadry uczciwie myślących katolików, zdolnych do stałego oddziaływania w duchu pokojowym na swoją społeczność, zdolnych do godnego reprezentowania w tym ruchu katolickiego stanowiska w sprawach wojny i pokoju.

Musimy sięgnąć do szerokich mas świeckich katolików. Któż bardziej, niż zwykły polski wierzący obywatel, wprężony w codzienną twórczą pracę, biorący udział w życiu społecznym, własnego narodu, troszczy się o dom, o rodzinę, któż jest bardziej od niego kwalifikowany do zabierania głosu i bronięcia wśród współwyznawców sprawy pokoju?

W ramach potężniejącej z każdym dniem akcji Komitetów Pokoju — katolicy polscy włożą swój twórczy, oryginalny udział, dla dobra własnego kraju, dla dobra Światowego Ruchu Pokoju”.

Pod znakiem jedności w walce narodu o pokój Kongres zamyka obrady. Uchwalono depesze protestacyjną do ONZ, apel do Polonii zagranicznej i rezolucje narekające ogólne wytyczne Polskiemu Ruchowi Pokoju. Jerzy Pułtrament, przewodniczący ostatniego posiedzenia wzywa do trwałej i konsekwentnej akcji pokojowej. Delegaci wracają do domów, do warsztatów pracy, z wolą konsekwentnego realizowania przyjętych postanowień. Muszą być konsekwentni i wytrwali, bo walczą o najcenniejsze dobro człowieka. O życie.

T. M.

Czytajcie

„SŁOWO POWSZECHNE”

I.

Rok 1877, rok ukazania się jednej z najlepszych i najbardziej reprezentatywnych powieści Emila Zoli „Assommoir”, rozpoczyna fazę ostatecznego formowania się naturalizmu jako zwycięskiego kierunku literackiego. W ślad za powieścią mistrza i protagonisty nowej ideologii pojawia się studium Huysmansa „Emil Zola i L'Assommoir”, będące w pewnym sensie manifestem programowym szkoły. W tych latach Zola zdolał już zgrupować wokół siebie grono entuzjastów i wyznawców nowej sztuki, zjeżdżających w każdą niedzielę do uroczej posiadłości mistrza w Médan pod Paryżem, aby przepędzić długie godziny na żarliwych i namiętnych dysputach. To grono młodych, pełnych rozmachu i zuchwałej śmiałości początkujących literatów wydaje w r. 1880 zbiorowy tom nowel wojennych, osnutych na bolesnych wspomnieniach tragicznych lat 1870 — 71, tom, któremu dla podkreślenia wewnętrznej solidarności i wspólnoty literackiej autorów nadano symboliczny tytuł „Les soirées de Médan” (Wieczory w Médan). Wśród utworów tam zgromadzonych powszechną uwagę obudził jeden zwłaszcza: „Boule de suif” (Kulka bojowa, Baryłeczka), historia pozornie banalna.

Jest rok 1870. Z zajętego przez Prusaków Rouen ucieka wynajętym ad hoc dylizansem kilka ustosunkowanych rodzin miejscowych. Pragną przedostać się przez strefę demarkacyjną na stronę francuską. Podróż odbywa się pomyślnie, gdy nagle nieoczekiwana przeszkoda przykuwa ich do miejsca w małym, prowincjonalnym miasteczku. W gronie uciekinierów znalazła się przypadkowo młoda, ładna, lecz podejrzanej kondyty dziewczyna, na skutek przedwczesnej tuszy nosząca przewzisko Baryłeczki. I oto pruski komendant miejscowego garnizonu, w którym ta uroczą dziewczyna obudziła gwałtowne i namiętne zainteresowanie, postanawia tak długo trzymać podróżników w tej prowincjonalnej dziurze, dopóki Baryłeczka nie zaspokoi jego brutalnego kaprysu. To nikczemne żądanie spotyka się jednak z niespodzianym i zdecydowanym sprzeciwem dziewczyny. W tych dniach narodowej klęski odzywa się w Baryłeczce mimo całej zawstydzającej przeszłości zdrowy odruch protestu, nigdy nie zachwiany patriotyzm ludu francuskiego, narodowa duma. Wszystko, tylko nie to. Z tą jednak chwilą rozpoczyna się jej dramat. Zagrożeni perspektywą nieskończonego postoju i strwożeni uporem pana komendanta uciekinierzy, nie widząc innego sposobu załatwienia sprawy postanawiają poświęcić honor nieszczęsnej dziewczyny, odstąpić tym jednym razem od wyznawanych przez siebie „niezlomnych” zasad moralnych „dla wspólnego dobra”. I oto dostojni ojcowie patrycjuszowskich rodów z panem hrabią de Bréville na czele przypuszczają koncentryczną atak, przesiadają się w objawach uprzejmości i życzliwości wobec tej upadłej istoty, rozwijają całe bogactwo swej obłudnej i krętackiej kazuistyki, by złamać opór dziewczyny, by ewentualną powolność wobec żądań pruskiego oficera przedstawić w jej oczach niemal jako akt patriotyzmu, ofiarę złożoną na ołtarzu miłości redaków. Wobec tak „nieodpartych” argumentów Baryłeczka kapituluje. Jej ofiara otwiera, z powrotem gromadząc zbieg w drodze do wolności. Ale gdy cała spłoniona od wewnętrznej wstydu i poczucia moralnej ohydy wraca do „swoich”, spotyka ją bezlitosne, lodowate, wzgardliwe milczenie i nienawistne spojrzenia tych, którzy ją do tego upadającego kro-

Artur HUTNIKIEWICZ

GUY DE MAUPASSANT

ku sklonili. Teraz jest już im niepotrzebna, teraz jest już tylko godną pogardy sprzedaną dziewczyną.

Utwór oczarował krytykę zarówno ciętością swej celnej satyry, obnażającej bezlitośnie zakłamanie i perfidną obłudę tzw. mieszczańskiej moralności, jak też skończoną perfekcją literackiego ukształtowania, świetnym rysunkiem postaci, obiektywnym realizmem zaobserwowanych szczegółów, przejrzystością stylu i języka. Autorem opowiadania, co wzbudziło powszechne zainteresowanie, był Guy de Maupassant, urzędnik ministerialny, w literaturze całkowity homo novus. Tajemnica świętego debiutu wyjaśniła się nieco, gdy wyszły na jaw kontakty młodego pisarza z Flaubertem. Maupassant był pupilem literackim autora „Madame Bovary”. Dobra szkoła musiała przynieść dojrzałe owoce. W 30 roku życia wkraczał Maupassant w literaturę francuską jak meteor w pełni blasku i świetności, bo po 12 latach sławy i rozgłosu pograżyć się wbrew wszelkim oczekiwaniom w tragiczny mrok.

II

Na życiu i na dziele Maupassanta legła przytłaczającym ciężarem dwoistość jego psychiki. Z jednej strony uderza w jego twórczości i narzuca się badaczowi jako cecha konstytutywna jego dzieła zmysłowy kult życia. Maupassant pochodził z Normandii i wszystkie brutalne porwy, popędy, rozmach życiowy i nienasyconosc pożądań starej rasy normandzkiej zdobywców raz jeszcze znalazły okazję do żywiołowej manifestacji w jego wspaniałym, mocnym i rosłym ciele. Ale ta miłość życia, upojenie samym faktem istnienia nie ma w sobie nic z religijnego zachwyty św. Franciszka, odkrywającego w harmonii i oszalałomijającej urodzie świata ślady rąk Boskiego Stwórcy. Maupassant jest barbarzyńcą, rozkoszującym się aktem wszechstworzenia z bezpośrednią żywiołowością na wskroś zmysłowych, pierwotnych, animalnych natur. „Kocham niebo jak ptak” — oto jego własne zwierzenia — „kocham las jak wilk-włóczęga... czuję, jak drzę we mnie wszystkie instynkty, wszystkie stłumione żądze niższego stworzenia”. Z tego faunicznego kultu biologicznej, cielesnej strony fenomenu istnienia wzięły początek z jednej strony całkowity amoralizm pisarza, zwłaszcza w dziedzinie przeżyć erotycznych, z drugiej obojętność dla psychologii, szczególnie w I okresie twórczości, przesadne skoncentrowanie uwagi na zewnętrznej, zjawiskowej, fizjologicznej stronie życia, co wieść musiało nieuchronnie do jednostronności i zubożenia obrazu.

Należałoby oczekiwać, że taka afirmująca postawa wobec życia, rozmaitowanie w jego zmysłowych urokach, powinny dać w ostatecznym rezultacie wizję świata pozytywną, może niezbyt głęboką na skutek wyraźnej ograniczonej spojrzenia, ale w zasadzie optymistyczną. Tymczasem tak nie jest. Nieokielzany witalizm Maupassanta napotykał w najgłębszych złożach jego własnej duszy na antyetyczny, zaprzeczający euforycznemu nastrojowi, a nie mniej potężny i głęboki nurt pesymizmu. Pesymizm jest jednym z rysów zasadniczych i niejako programowych szkoły naturalistycznej, ale nie u wszystkich wyznawców kie-

runku miał tę samą głębię i zasięg. U pomniejszych naśladowców był tylko pozą, jeszcze jednym środkiem epatowania mieszczańskiego czytelnika. U innych, zwłaszcza u Zoli był głównie zabiegiem profilaktycznym, jednym z orężów w walce o lepszy, doskonalszy świat; nie płynął z głębokich, metafizycznych przeświadczeń — odtwarzanie mroków życia było świadomym działaniem wychowawczym, gestem przestrogi. Pesymizm Maupassanta jest integralny, immanentny, wynika z jakichś wrodzonych, organicznych predyspozycji i ukształtowań jego psychiki. I oto życie i dzieło pisarza staje się obrazem ciągłej, ustawicznej, wyczerpującej nerwy, druzgocącej zdrowie fizyczne i moralne ambiwalencji dwu przeciwstawnych dążeń: ślepej, euforycznej woli życia i obezwładniającej pewności, że wszystko zmierza ku nieuchronnej zagładzie. Brak równowagi duchowej, nieosiągalnej w takiej sytuacji, znalazł jaskrawe odbicie w dziele. Świat utworów Maupassanta jest światem mrocznym i smutnym. Jego twórca był osobowością zbyt namiętną, by mógł zdobyć się choćby na taki spokój i opanowanie, jakie tytu ironistom i sceptykom francuskim od Montaigne'a po Anatola France'a pozwoliły wzniesić się ponad rozczarowania i zawody życia. Toteż Maupassant z bezlitosną pasją obnaża tajnie duszy ludzkiej, z jakąś bolesną konsekwencją i upodobaniem odsłania wszystkie najniższe pobudki ludzkiego działania: egoizm, obłudę, skąpstwo, nienawiść i brutalną zmysłowość. W tym świecie zimnych, wyrachowanych działań lub bezmyślnych, ślepych popędów nie istnieje prawdziwa wielkość, a szlachetne i wzniosłe idee są tylko pustym dźwiękiem. Triumfuje zło i tylko krzyk cierpienia przeszywa niekiedy lodową, bezlitosną pustynię wyziębłych serc.

Z biegiem lat pesymizm Maupassanta pogłębiał się. W nim samym zachodziły niepokojące przemiany. Życie bezładne, oscylujące między gorączkową twórczością a żądzą wyczerpania do dna wszystkich zmysłowych uroków istnienia w szaleńczych ekscjach podkopywało systematycznie organizm. Maupassant czuł w sobie wzbierający przypływ groźnej fali, co pograżyć go miała w otchłań zagłady. To trwożne wsiłuchiwanie się w narastającą katastrofę zaznaczyło się w twórczości pogłębieniem psychologicznym. Powstaje w tych ostatnich latach życia i twórczości szereg utworów, w których precyzyjnie introspekcyjnie osiąga szczyt doskonałości. Wśród nich „Le Horla” jest jednym z najświetniejszych w literaturze światowej dokumentów psychopatologicznych, zbeletryzowaną analizą pierwszych objawów zbliżającego się obłędu, analizą nie ustępującą pod względem ścisłości najbardziej precyzyjnym opisom naukowym.

Groźne przecucia nie zawiodły pisarza. Maupassant zmarł w obłędzie w r. 1893, przeżywszy zaledwie lat 44. Dopiero w obliczu tej strasznej śmierci uświadomiono sobie, jak bardzo osobista, przesycona indywidualnym, tragicznym odczuciem istoty bytu była twórczość tego pozornie banalnych dramatów dnia powszedniego

III

Plon literacki Maupassanta przedstawia się pod względem ilościowym wcale pokaźnie. W ciągu 12 lat swej błyskotliwej kariery pisarskiej dał literaturze francuskiej 7 większych powieści, około 200 nowel i kilka relacji podróży. Tematem jedynym i wyłącznym jego twórczości jest życie, to życie zwyczajne, szare, odarte z blasków poezji, życie pozornie nieciekawe, obok którego przechodzimy często obojętnie nie dostrzegając jego cichych, małych, a przecież bolesnych tragedii. Zakres środowisk, jakie odtworzył pisarz w swoim dziele, galeria typów ludzkich, jakie w nim uwiecznił, są bardzo szerokie. Jako realista z urodzenia czerpał bezpośrednio z doświadczeń własnych. Na plan pierwszy wysuwa się Normandia, ojczyzna bliższa pisarza, której krajobraz, przyroda, ludzie i obyczaj najsilniej oddziaływały na niego i najobficiej zapożyczyły wyobraźnię. Maupassant jest przede wszystkim epikiem ziemianstwa i chłopów normandzkich. Później wspomnienia lat pracy urzędniczej w ministerstwach marynarki i wychowania otworzyły przed autorem „Baryłeczki” świat małych, ubogich urzędników, tę tak dla prawdziwego naturalisty pasjonującą dziedzinę mizernej, pozbawionej szerszych perspektyw węgietacji, co stała się udziałem szerokiej rzeszy urzędniczej inteligencji w dobie rozkwitu kapitalizmu. Liczne podróże po Francji i zagranicą uzupełniały stale i wzbogacały doświadczenie pisarza. Tragedia osobista pod koniec życia dostarczyła wreszcie podniecie do kilku utworów wstrząsających grozą przeczuci i niezwykłością problematyki.

W ciągu całej twórczości zdradzał Maupassant szczególną predylekcję do niektórych tematów. Mieszczaństwo i stworzona przez burżuazję 2 połowy XIX w. pseudokultura życia rodzinnego i społecznego, cała ta bezwzględna maskarada pozorów i zakłamania, ukrywająca za odświętną fasadą drastyczne objawy rozkładu, to jeden pasjonujący go temat. Pod tym względem mimo wszystkich przejawskawień dzieło Maupassanta ma wagę i znaczenie dokumentu obyczajowego. Druga sfera jego głębszych zainteresowań to chłopstwo normandzkie, traktowane jednak z jakimś szczególnym uprzedzeniem, a nawet nienawiścią. Jest to zjawisko znamienne, dość często u naturalistów spotykane. Chłubiąc się wprowadzeniem do literatury nowych tematów, nowych, dotąd „nie-literackich” środowisk (robotników czy chłopów) zajmowali jednocześnie wobec nich postawę negatywną, stronniczo niesprawiedliwą. Był to skutek fałszywych apriorycznych założeń ideologicznych i światopoglądowych szkoły. Chłop Maupassanta jest na ogół nie tylko ciemny, gburowaty i nieokielzany — jest zły, bezlitosny, chciwy, twardy i nieużyteczny. Ten lud, do którego tylokrotnie odwoływała się Francja w najtragiczniejszych momentach swojej historii, przedstawiony tu został w jakimś skrzywionym, karykaturalnym niemal odbiciu. Toteż ta strona twórczości wielkiego pisarza już za jego życia spotykała się z zastrzeżeniami.

Wybitną natomiast i trwałą wartość zachowały liczne utwory osnutte na motywach wojennych. Jest zasługą naturalizmu, że właściwie on

pierwszy usiłował odsłonić skomplikowany mechanizm dojrzewającego w owym czasie militarystycznym imperialistycznym. Maupassant począwszy od pierwszego swego utworu wracał wielokrotnie do tematu wojny. Należąc do pokolenia, które dojrzewało pod brzemieniem klęski r. 1870, z całą bezwzględnością swego ciężkiego pióra piętnował głupotę i bezsens awantur wojennych, a zarazem obnażał ich grozę i potworność.

Wśród tych rozlicznych motywów tematycznych, nęcących myśl i wyobraźnię pisarza, jeden traktowany jest najwszechstronniej: sprawy miłości. Ten klasyczny, odwieczny, zawsze niepokojący temat pod piórem naturalistów uległ swoistej, deformującej interpretacji. Teoretycznie wychodząc z założeń realistycznych, a więc — zdawałoby się — obiektywnych, w istocie traktowali tę tak doniosłą sferę przeżyć osobistych człowieka z świadomą tendencyjnością i jednostronnością. Naturaliści i Maupassant pojmwali miłość niemal wyłącznie fizjologicznie. Był to oczywisty konwencjonalny fałsz, którego źródół należał szukać z jednej strony w naiwnym scientyzmie naturalistów, a z drugiej w świadomych założeniach naturalistycznej etyki. Nie wolno bowiem zapominać, że naturalizm okrzepł i zdobył sobie prawo do istnienia w walce z romantyzmem, którego jednym z najistotniejszych rysów była chorobliwa gloryfikacja przeżyć emocjonalnych, wiodąca w konsekwencji — nie tylko w sztuce, w teorii, ale i w praktyce życiowej — do nadmiernej tolerancji w rzeczach moralności i absolutnej swobody erotycznej. Waleząc z tą romantyczną, sprzyjającą nadużyciom gloryfikacji erotyzmu w imię nowej, surowej etyki naturalnej Zola i jego uczniowie popadli w skrajność przeciwną, odarli miłość z wszystkich blasków idealizmu, piękna, wzniosłości, oddzielił ją od jej duchowych źródeł widząc w niej niemal wyłącznie sprawę ciała i zmysłów.

Wydaje się jednak, że u Maupassanta decydującą rolę odegrały w tym względzie zarówno wrodzony mu kult cielesności, jak też pesymistyczne, tragiczne widzenie świata. Toteż wydzwiękiem ostatecznym wszystkich niemal na motywie miłości osnutych nowel i powieści pisarza („Une vie”, „Bel Ami”, „Notre coeur”), wrazeniem kołowym, jakie wynosi czytelnik z ich lektury, jest poczucie jakiegoś straszliwego dysonansu i bezsensu życia. „Bohaterowie” Maupassanta dążą do miłości, widzą w niej jedyną niemal rację istnienia, jedyną radość i szczęście osiągalne na ziemi, gdy tymczasem życie na każdym kroku niweczy ich marzenia i iluzje, a ci, co najwięcej kochają czy mogliby kochać, napotykają z reguły na zimną obojętność lub karykaturę uczuć.

Janina z powieści „Une vie” („Życie”), 18-letnia, uroczą, niewinna, wychowana w klasztorze dziewczyna, pragnie kochać całą mocą swego czystego, dziewięcącego serca. Gdy pojawi się piękny i wytworny wicehrabia de Lamare, powierzy z zaufaniem los swój w jego ręce, ale małżeństwo to stanie się dla niej bolesną kalwarią rozczarowań, rozwianych iluzji, brutalnym i drastycznym zaprzeczeniem jej marzeń dziewczyczych. Gdy wzbogacona tą gorzką mądrością życiową, którą nabywa się za cenę bolesnych doświadczeń, przeleje całą potrzebę kochania na jednego syna Pawelka, odkryje po latach z przerażeniem w drastającym młodzieńcu wszystkie straszliwe przywary i nalogi nieżyjącego już męża.

(Dokończenie na str. 10-cj)

Aleksander ROGALSKI

GROZA I POEZJA

Któż z nas nie śledził z zapartym tchem w ponurych latach okupacji bohaterskiej obrony Leningradu? Któż z nas czytając niemieckie komunikaty wojenne o froncie leningradzkim i sojusznicze komunikaty wojenne o tym samym froncie nie starał się wniknąć myślą w przeżycia mieszkańców tego milionowego miasta, otoczonego blokadą niemiecką i niszczonego wszelkiego rodzaju bronią oraz głodem i mrozem przez tyle, tyle miesięcy!

Względy powyższe sprawiają, że ze szczególnym wzruszeniem i zainteresowaniem czytelnik polski pochłania kartki z pamiętnika wybitnej poetki radzieckiej, Wiery Inber*), pisanego w Leningradzie w owych trzech straszliwych, a zarazem technicznych wielkością lat 1941—1944. Zwięzłe te zapiski, pozabawione wszelkiej literackiej szminki, prowadzone nieraz z dnia na dzień, często w przerwie między jednym nalotem czy ostrzałem artyleryjskim a drugim, rysują przed nami niezwykle plastyczny i realistyczny obraz oblężonego Leningradu, pełen monstrualnej grozy — a zarazem głęboko ludzkiej, wzruszającej poezji.

Niewiele będę przytaczał szczegółów grozy z książki Wiery Inber. Nie mogę jednak pominąć niektórych dla uwypuklenia faktów i zjawisk, które zaliczam do kategorii „poezji“.

W zapisce z dnia 11 sierpnia 1943 r. czytamy m. in.:

„Fotoreporter K. opowiedział mi wstrząsające szczegóły niedzielnego ostrzału na rogu Newskiego i Sadowej: krwawy przystanek tramwajowy. Na bruku leżały strzępy ludzkich ciał, bańki blaszane, torebki, łopaty, warzywa. Wielu ludzi jechało do swych zamiejskich działek ogrodowych, wielu powracało stamtąd. K. widział urwaną rękę z papierosem, który jeszcze dymił. Buraki i marchewki pływały we krwi. Strażacy zmywali później krew z jezdni i chodników...“

Wiele było takich dni jak 19-ty września 1941 roku, kiedy to Leningrad przeżył 6 alarmów lotniczych, które trwały łącznie 7 godzin 34 minuty. Na miasto spadło wówczas: bomb kruszących 528, zapalających — 1435, pocisków artyleryjskich — 97. Zarejestrowano 89 ośrodków zniszczeń.

Lecz ludność Leningradu ginęła masowo nie tylko od bomb i pocisków, lecz również od zimna i głodu. Wiera Inber wymienia artykuły żywnościowe i potrawy, jakie podawano w jadłodajniach leningradzkich w dniach blokady: „Mąka drzewna, zmiotki (tzn. pozmiatane zewsząd resztki) sły na placki. Drożdże białkowe — na pierwsze dania. Dekstryna (odpadki techniczne) — na ołatki, zapiekanki, bitki, kotlety. Mąka z makuchów lnianych — na drugie danie. Albumina na pierwsze danie. Celuloza — na ołatki, zapiekanki, bitki, kotlety. Zużyte pasy transmisyjne ze świńskiej skóry — na zupy, galarety i kotlety. Klej stolarski i miadza — również na galarety“. Większość leningradczyków otrzymywała od 20 listopada do 25 grudnia 1941 roku 125 gramów chleba wypiekanego z mąki, której skład przedstawiał się następująco: zepsuta mąka żytnia — 50%, sól — 10%, makuchy — 10%, celuloza — 15%, mąka sojowa, zmiotki i otręby — po 5%.

W tych okrutnych warunkach dzielenie się swoim chlebem lub odstępowanie innym kartki żywnościowej równające się skazaniu siebie na śmierć głodową musiało być szczytem niłości bliźniego, a jednak Wiera

Inber notuje takie wypadki jak następujący: „Pewnego razu łączniczka-studentka podniosła na ulicy milicjanta, który zemdlął z głodu i któremu ukradziono kartki na chleb. Dziewczyna ta dowlokła milicjanta na plecach do piekarni i kupiła mu chleba na jutrzejszy numer swojej kartki. A co pocnie sama nazajutrz?“

I to jest właśnie ta „poezja“, o której pisałem na początku, poezja serca ludzkiego, poezja miłości dla drugiego człowieka, miłości dla istot najbardziej kruchych i bezbronych, dla kwiatów, drzew, zwierząt, a przede wszystkim dla dzieci — poezja, która nie tylko nie zamarła, lecz najbujniej zakwitnęła w czasie najbardziej wrogi dla wszelkich subtelnějších uczuć. Opowiada nam więc Wiera Inber, jak to w czasie generalnego szturm Niemców na Leningrad pewna grupa czołgów radzieckich zaniechała obrony swej pozycji, znajdując się w Ogrodzie Botanicznym i wycofała się zeń, byle nie narazić na zniszczenie w ciągu kilku minut ogrodu, który pielęgnowano dwieście lat, a na taką decyzję zdobyć się nie przyszło jej bynajmniej łatwo.

Szczególnie troskliwą opiekę rozciągano nad dziećmi. Nieznużenie

pracował Instytut Pediatryczny, mieszczący się w dzielnicy najbardziej ostrzeliwanej przez Niemców, choć wszystkie jego oddziały łącznie otrzymywały 200 gramów śmiałki na dobę. Czynnym w nim był nawet oddział dla niedonoszonych, wymagających największych zabiegów.

Dla dzieci ludzie narażali się na najgroźniejsze niebezpieczeństwa i zdobywali się na największe wysiłki. W czasie blokady Leningradu wioził pewien marynarz z Ładogi kuter z cennym ładunkiem dla miasta. „Zaczął się nalot. Cała załoga kutra została ranna, sternik nie stracił jednak panowania nad sterem. Ładunek dotarł pomyślnie do miasta. Spytałem: „A coście takiego wieźli?“ Marynarz odpowiedział: „Kakao i czekoladę dla leningradzkich dzieci“.

Wiele jednak zdrowych dzieci umieszczono w bezpiecznym miejscu, na wyspie Kirowa w siedemnastu budynkach i pawilonach i odżywiano je świetnie: dostawały glukozę i mleko.

Jakże znamienne jest, że w pamiętniku swym kreśląc groźny obraz życia całego społeczeństwa leningradzkiego na równym planie sta-

wia Wiera Inber największe swoje osobiste nieszczęście z tego czasu, mianowicie chorobę i śmierć swego jednorocznego wnuczka, dając bólowi swemu wyraz bardzo przejmujący.

Dziesiątkowo! mrozem i głodem, bombami i kulami wroga uczeni niepewni najbliższej godziny kontynuowali nieznużenie swoją pracę wychowawczą i naukową, literaci największe swe siły poświęcali nadal sztuce pisarskiej, widząc w niej sens swego życia. teatry, kina i sale koncertowe były czynne. Pod gradem bomb Szostakowicz pisał symfonię i „Prawda Leningradzka“ donosiła o tym „między komunikatami z frontu południowego, między epizodami o „sępach faszystowskich“ i o bułkach z płynem zapalającym“.

Leż w tym głębokiego patosu etycznego!

Klimat moralny, panujący w oblężonym Leningradzie, był prawdopodobnie główną przyczyną, dla której Wiera Inber, która była literatką bezpartyjną, zgłosiła akces do partii.

Przyjęta została do niej pod koniec oblężenia, bo w grudniu 1943. Inber pomieściła w swym pamiętniku szczegółowe sprawozdanie z tego przyję-

cia, a jest ono tak wymowne, że warto je tu w pełni przytoczyć:

„Posiedzenie egzekutywy komitetu dzielnicowego odbywało się za owalnym stołem, w pięknym dużym pokoju: podłoga usłana chodnikami, stół nakryty zielonym sukniem. Stawiano mi pytania i odpowiadałam stojąc:

Pytanie: Dlaczego nie weszliśmy do organizacji podstawowej Związku Pisarzy?

Odpowiedź: Oddział Związku Pisarzy w Leningradzie nie posiada w obecnej chwili swej organizacji podstawowej. Pisarze-frontowcy włączeni zostali do organizacji partyjnych w wojsku, a reszta w miejscu pracy.

Pytanie: Jakie prace społeczne wykonywaliście w ostatnim czasie?

Odpowiedź: Miałam cykl wieczorów autorskich w zakładach przemysłowych, w klubach, oddziałach wojskowych, szpitalach i szkołach.

Pytanie: Jak wyobrażacie sobie waszą przyszłą pracę partyjną?

Odpowiedź: Będę, jak dotychczas, pisać i występować publicznie z mymi utworami. Będę się jednak starała, aby utwory te stały na znacznie wyższym poziomie. Poza tym będę robić wszystko, czego zażąda ode mnie partia.

Pytanie: Czy nie boicie się surowej dyscypliny partyjnej?

Odpowiedź: Nie, nie boję się. Jestem z natury zdyscyplinowana.

W drodze powrotnej z komitetu dzielnicowego zadawałam sobie pytanie: jak naprawdę upłynął rok mego stażu kandydeckiego? Jak zmieniły się we mnie w ciągu tego okresu?

Przemawiałam i czytałam swoje utwory w fabrykach, zakładach przemysłowych i oddziałach wojskowych. Pisałam. To prawda. Ale przecież to samo robiłam przedtem. Na czym polega różnica?

Nie tak łatwo to sformułować, ale różnica jest. Przedtem było tak: Napiszę, przypuszczę, udatną rzecz i cieszę się z tego. Niepowodzenia przysparzały mi wiele goryczy. Były to jednak moje osobiste smutki i wyłącznie moje radości.

Obecnie natomiast zastanawiam się nad tym, w jakim stopniu to co piszę, jest pożyteczne dla sprawy literatury radzieckiej, która z kolei jest częścią wielkiej sprawy — rozkwitu mego państwa, pierwszego socjalistycznego państwa na świecie.

Każdy utwór literacki, rozumując logicznie, powinien, a przynajmniej może przeistoczyć się w czyn.

Staram się badać rozumową linię prowadzącą od utworu do czynu, odgadnąć, co się dzieje za skrajem urwiska na końcu stronicy, tam gdzie zaczyna się życie.

Jak oddziaływały teraz na czytelników moje wiersze? Jak pracowało moje pióro — mój oręż, w oblężonym Leningradzie? Czy potrafiłam w jakimkolwiek stopniu być potrzebna miastu?

Odpowiadam za to.

Porzuciła mi to partia. To moje zadanie partyjne“.

Ogólnie biorąc sądzę, że największą pochwałę, jaką można wyrazić „Oblężonemu miastu“ Wiery Inber, będzie, jeśli się powie, że w poważnym stopniu wzbogaca ono naszą wiedzę o istocie ludzkiej w przyszłości zarówno indywidualnej jak i społecznej, będąc zarazem książką mimo wypełniającego ją opisu okropności wysoce optymistyczną.

Aleksander Rogalski

MAREK ANTONI WASILEWSKI

1.

Chcę żyć. To prawda. Nie zaprzeczę.
Może zbyt nadto w ziemię wrosłem,
W to, co jest ludzkie, co człowiecze,
Płaskie, niezdarne, a wyniosłe.
Kiedy przez pył kruszonej cegły
Latarnie patrzą do mnie żółto,
Mam oczy wąskie i przebiegłe,
Twarz kryję w mrok i drżący półcień.
I pysznie się potęgą mięśni,
I ufam wiedzy, mózgu tkankom,
Pochwalam sztukę i moc pieśni,
Wierzę w świst kuli i ruch tanków.
O, jakim wielki, jakim pyszny,
Ja, proch dźwignięty w byt człowieka,
Tłumaczę z pewną miną przeszłość
I w przyszłość płynę niby rzeka.
A starczy lśniąca stal bagnetu
Na moje serce, bym pan świata,
Niepokonany, dufny przedtem,
W pozorną nicość jak w toń zapadł.

2.

Niech nie zapoznam Cię, Panie,
Coś mnie wywyższył nad zwierzę,
Gdy przyjdzie z ziemią rozstanie,
Niech tak jak dzisiaj Ci wierzę.
Niech w każdej chwili pomnę,
Żem jeno grudą z prochu,
Że przyjdą ludzie po mnie,
By także cierpieć i kochać.
Daj mi myśleć o śmierci
Póki się bawię i żyję.

Naucz mnie mężnie cierpieć
I trudu nie omijać.

Moje życie — kula u nogi.

A przecież tak żyć pragnę.

Nadzieja, żeś Ty moim Bogiem,

Co wywiedzie przez topiel i bagno.

Nie dozwól mi wątpić, wspomóż!

Nie zgrzeszę przeciw nadziei.

Pragnę pokoju i domu

Przed którym koguty pieją.

3.

Tu lęk życia, tam strach niewiedzy.

Panikarzom kosmicznym odważkę,

Którzy w niemym bezruchu siedzą,

Lub na potop szykują arkę:

— Zbrojny w nadzieję przełamie

Głos wszelkich podżegaczy.

Dwóch słów się nauczę na pamięć,

By rzec im: będzie inaczej!

Histerii świata kaftan

Na rękach związę bezradnych.

Propaganda niech znaczy prawda.

Niech kłamstwo jak liść opadnie.

Pragnę żyć. Zaiste. Nie przeczę.

Ale pokój... wielka to sprawa.

Rozumiem, rozumiem przecież...

Nawet gdy wiązę krawat

Nie zapominam i choć życie cenię

Wojnie tren piszę. (Dla pokoju oda)

Jestem gotów chwylę na wieczność zamienić.

Życie za pokój oddać.

*) Wiera Inber: „Oblężone miasto“. Czytelnik 1950 r.

Jan Józef SZCZEPANSKI

POLSKA JESIEŃ

No, dali wy im szkołę — mówili sołtys wsi Narod. — Myślałem że już na wieki tutaj zostanie, tak się rozpieęły sukisyny. Ale też wiali! Biegłem. Ot, nie ma godziny, jak u mnie w chałupie jakiś ich pułkownik stał. Bierście panowie, bierzcie... — potrząsał płaską plecionką, pełną małych, suszonych gruszczynek. — Nie mam nic więcej, żeby was ugościć. — Przymilał się i zachęcał rozradowanymi, niebieskimi oczkami, poklepywał konie po karkach. — Teraz pewnie ich pogonicie?

— Rozumie się — odparł Redycz z wysokości swego rosnącego wałacha. Usta wykrzywił mu uśmiech pełen ironii, który sołtys wziął widocznie za wyraz triumfu, bo aż klepnął się ręką po udzie z zapałem. — Ot, polskie wojsko! — krzyknął. — Jak zaczyna bić, to i bija.

Redycz zawrócił na miejscu, omal nie przewracając sołtysa zadem wierzchowca i ruszył dalej, w stronę taboru. Był jeszcze bardzo wczesny ranek, pora najdotkliwiej wydobywająca z kości znużenie. Ziewaliśmy i trzęśliśmy się z zimna w siodłach. Naprzeciw wiklinowymi płotami otoczonych chat czerniał las, z którego wiało przejmujących chłodem piwnicy. Obok nas przepychały się drogą luźne grupki piechurów, biedki z cekaemami, pojedyncze, taborowe wozy. Przewożono rannych w roztrzepionych półkoszach, ozdoba-



bionych chorągiewkami czerwonego krzyża. Niektórzy wlekli się obok, uczeni dłońmi klony, jakby w obawie, że zbawczy wóz umknie im przed pierwszą sposobnością, inni leżeli bezwładnie na słońcu, stękając i jęcząc za każdym wybojem. Było to przeważnie żniwo ostatniej nocy. Spozstrzegaliśmy także Stumpfę. Siedział obok jednego z woźniców i machał ku nam ręką, ale nie widać było czy się uśmiecha, bo twarz zabandażowaną miał od ucha do ucha.

Kazano nam zsiąść i popuścić popiegi, a wkrótce potem Redycz wezwał działonowych do taboru po faszynki papierosów. Był to pierwszy taki przydział i wywołał w baterii ogromne wrazenie. Jako niepalący rozdałem moją setkę „Machorkowych“ między żołnierzy działonu. Zdaniem Funtę był to bardzo nierozsądny postępek „bo taki papieros, panie podchorąży, to jest teraz pieniądz“. Ku jeszcze większemu pokrzepieniu ducha utknął koło nas samochód intendentury, wyładowany prowiąntem. Jędzi pomogli wypchnąć niezgrabne pudło z piachu i dostali za to wielki płat słońcy oraz woreczek mąki. Słonina smierdziała już trochę, ale Marchewka powiedział, że trudno, słonina nie fijołek i że on nawet woli jak jest trochę „dojrzała“. Sołtys zresztą przyniósł nam do niej cebuli i w ten sposób założyliśmy w przodku działła małą spiżarnię, której zarząd powierzyłem doktorowi Kurkowi, żeby nie mówił, że szyszanuję śluzaków.

Teraz skłoniliśmy już byli brać za dobrą monetę optymistyczne prognozy sołtysa, twierdzącego, że „już się tym baciarom odwróciła ich drańska karta“. Poczucie humoru nie opuściło nas jednak na tyle, byśmy nie mieli równocześnie pokpiwać z siebie troszeczkę. Ostatecznie kierunek naszego marszu nie uległ zmianie, a sam przebieg bitwy nasuwać musiał każdemu te same, kłopotliwe refleksje. Kiedy wszakże ruszyliśmy dalej, wszelkie świadectwa sceptycznego rozsądku przycichły wobec tego co ukazało się naszym oczom. Myślenie kategoriami sytuacji wojennych może być szczególnym darem generałów i polityków. Prosty żołnierz pragnie widzieć bezpośrednie skutki swych działań i według nich formuje swe bojowe „morale“. Tym razem skutki widoczne były jak na dłoni. Nieprzyjaciel pozostawił na drodze mnóstwo sprzętu. W rowach

walały się skrzynki z amunicją, le-dwo zaczęte taśmy od karabinów maszynowych, helmy, apteczki, zwoje nowiutkiego kabla. Mała łączka za wsia mogła być pierwowzorem obrazu, zatytułowanego „pobojowisko“. W środku stały dwa osmałone czolgi, wytrzeszczając ku nam trupio swe podwójne, białe krzyże. Dalej, na skrajcu mizernej olszyny, rozbita doszczętnie bateria prezentowała swe szczątki w nieładzie, w jaki wtargli ją ostatni paroksyzm rozpaczliwej, ludzkiej woli. Decydujący cios dosięgnął ją musiał w momencie próby zaprzodkowania, bo działa stały w różnych kierunkach, niektóre wpięte już ogonami w zaczepy przedków, a wokół pobite konie wydrywały ku niebu twarde brzuchy lub grzebały nieruchomo w powietrzu zesztywniałymi nogami. Piękne konie! gnjade, błyszczące, o potężnej, nieco ciężkiej budowie i krótko przystrzyżonych ogonach i grzywach. Czerwienieliły jeszcze na nich nowiutkie szory, widać wyjęte z magazynów

żyła już znacznie oddalił się od nas. Nagle otoczył nas rój przenikliwych bzydkań, przedłużających zjadliwie tępe uderzenia wystrzałów. Z prawej strony, pomiędzy kukurydzy trzaskały beładnie karabiny. Spojrzałem z niepokojem na podskakujące nierówno głowy jeźdźców. Zdały się wybierać na osłep luki między naprężonymi niewidocznymi w powietrzu strunami śmierci. Sledząc ich pośpieszny rytm dostrzegłem coś, czego nie zauważyłem poprzednio. a co oburzyło mnie tak bardzo, że na chwilę zapomniałem o wszystkim innym. Oto między rogatymi półowkami Pyrycha i Kuda podrygiwał w górę i na dół jakiś obcy kształt. niechlujna, szara cyklistówka o zło-dziejskim wyglądzie. Jednym skokiem dopadłem środkowego jeźdźcy. Był to Cieciana, ów uciekinier z Kol-buszowej, którego Marchewka wziął w jasyr.

— Gdzie wasza czapka? — huknął-łem mu nad uchem.

Wytrzeszczył na mnie zdumione i przestraszone oczy. W tej chwili kula gwizdnęła mi przed samym nosem. Ogarnęła mnie jakaś dzika, nierozumna wściekłość. — Idioto, ofermo! — wrzeszczałem, wygrażając mu pięścią. — Jak śmieliście?! Łajza cywilna, bałwan!

— Ja zgubiłem... — wybełkotał oszołomiony.

— Dobrze żeście głowy nie zgubili, ciuro obozowa!

Zawyczał starałem się unikać wyzwick. Tym razem straciłem zupełnie panowanie nad sobą. Gotów byłem prać w ten głupi leń, lżyć najohydniejszymi wyrazami. Owa wynieciona czapka ulicznika wydawała mi się czymś na kształt pierwszej plamy trażu na zdrowym dotychczas ciele. Zapowiedzia rozkładu, który zniszczy wojskową dyscyplinę, stoczy mój działon i położy kres bojowej wytrzymałości całej baterii. Czulem nielogiczność tego afektu, ale nie mogłem na to poradzić. Odżyły we mnie wszystkie urazy „nadwyzek“, wstyd i gorycz scen obserwowanych na szosie pod Niskiem, strach przed momentem załamania, który — przeczuwałem to teraz — nadejść musi wcześniej czy później.

Wpadliśmy między rzadkie zabudowania jakiegos przysiółka, gdzie nie sięgał już ogień nieprzyjacielskiej piechoty. Działon Jesioła czekał tu na nas pod osłoną kilku przydrożnych wierzb. Na wprost otwierała się płytka kotlina z bagnistą rzeczką po środku i lichym mostkiem, po którym dudniły teraz tabory. Po drugiej stronie bieliły się piaszczyste łysiny na sosnowym zagajniku porośniętych pagórkach.

— Za mną! — zakomenderował porucznik Herbst. Odsadził się dobrze do przodu i z daleka już ploszył krzykiem taborytów. — Miejsce dla dział! Stać! Przepuścić dział!

Belki mostu zaklekotały pod nami. Zboczyliśmy w lewo z drogi, parliśmy ostro pod górę, wśród trzasku batów spadających na zgrzane, wyprężone w wysiłku grzbiety koni. Nim wydrapaliśmy się na szczyt widny, dogoniły nas znowu dokuczliwe świsty. Odprzodkowaliśmy w największym pośpiechu.

— Trzeba przytłamsić te diabelską kukurydzę — mówił Herbst. — Mam tu zostać dopóki ostatni ciura z dywizji nie przekaraska się przez mostek. Na miejsca! Granat, ładunek normalny, zapalnik natychmiastowy R.Y.G...!

Przodki stoczyły się na drugą stronę wyniosłości w jasnej kurzawie pyłu. Widziałem jak wyciągniętym galopem brali zakręt i znikali w pobliskim lasku. Zaczęliśmy strzelać na wprost i na osłep, poza niedalekie domy przysiółka. Na drodze i wokół mostku zaczął się rwetes. Naciągały już pierwsze oddziały strażnicy tyłnej, najwyraźniej spłoszone naszym hukiem wystrzałów. Objuczeni piechurzy drobili truchcikami, przygięci do ziemi, zbić w małe stadka, jak kuropatwy. — Te same dane. Ognia! Ognia! — Komendy porucznika Herbstę padały w coraz mniejszych odstępach. Wkrótce przestaliśmy kierować się ich rytmem. Nabijaliśmy i odpalaliśmy raz za razem, a nieustanny rumor naszej kanonady sprawiał wrażenie akcji całej baterii. Niemiecka broń ręczna umilkła pod tą nawałą, ale był to efekt

chwilowy, bo ledwie zwolniliśmy nieco tempa, zabulgotały naprzeciw długie serie karabinów maszynowych. Przenosiły na szczęście, wypuszczane widocznie drżącymi ze zdenerwowania dłońmi.

— Walić, walić chłopcy — zachęcał nas Herbat, zrezygnowawszy z powtarzania wciąż tych samych formułek.

— Tu, tu, blisko — zawał nagle Marchewka. — Wyłamują płot, stawiają cekaem.

Rzeczywiście Niemcy byli już w przysiółku. Podbiegali skokami na skraj. Między węglami chałup, w gęstwie ogródków migwały ich szare sylwetki. Ogień maszynowy zmógł się, siekl z chrzestem sosnowe gałzki, kurzył po piasku różańcami maleńkich wytrysków. Skróciliśmy celownik, ale w podnieceniu biliśmy równie niecelnie jak tamci.

Przez mostek przechodzili już ostatni maruderzy. Kuszytkali w niezgrabnym pośpiechu ranni, którzy oberwać musieli dopiero co, bo na żadnym z nich nie widać było opatrunka. Co najwyżej przesiąkła krwią chustka, lub obdarty naprędc strzep koszułi.

Nasze jaszce porządnie już wyprżnięte nocną akcją, zaczynały ziać niepokojącą pustką. — Zaraz nadejda przodki — pocieszaliśmy się, licząc ze ściśniętym sercem błyszczące jeszcze w skrzyniach granaty.

— Ładować chłopcy jak idzie — mówił Herbst — szrapnele, przeciwpancerne, wskaźnikowe, co jest.

— Sześć pocisków, panie poruczniku — zameldowałem mu po chwili.

— U mnie dziewięć — krzyknął Kazek poprzez zamierzający huk eksplozji.

— Nic nie szkodzi chłopcy. Bić dalej. Zaraz będa przodki. Sześciu porucznika Herbstę drżały, wokół ust wystąpiły twarde guzy. Widziałem jak nieustannie ogłada się w stronę lasku, w którym zniknęła nasza droga.

— Jędzi same undowce — zapał nagle cienkim głosem Stawik. — Już się nie wróca pierony.

— Dobij — upomniał go spokojnie Marchewka.

— Dobij — powtórzył głucho doktor Kurek i zatrasnął rygiel ponad tępym stuknięciem stempla.

Porucznik Herbst położył mi niespodzianie dłoń na ramieniu. — Wystrzelamy do czysta — rzekł — a potem co Bóg da.

Twarze ociekały nam potem, kosule lepiły się do grzbietów. Wdzieliśmy że mostek opustoszał zupełnie. Zostaliśmy sam na sam z niemieckimi cekaemami. Teraz chodziło już tylko o naszą skórę. Nieprzyjacielskie serie nie wyrządziły nam dotąd żadnej szkody, ale ich terkot stawał się coraz mniej chaotyczny. Czuliśmy jak bardzo niebezpieczną staje się gra i w napięciu tym ogarniać nas zaczął jakiś zimny straceńczy spokój. Ruchy nasze stały się powolne, celowniczo przywarli z nową uwagą od swych przezierników. Ładowaliśmy w pozycji kłęczącej, garnąc się jak najbliżej pod osłonę tarcz naszych półówek. Każdy pocisk miał teraz cenę życia. Zostały nam tylko szrapnele, więc biliśmy nimi na udar. Dwa pierwsze rozerwały się w opłotkach przysiółka, trzeci, z Kazkowego działła, trafił w owo miejsce, gdzie Marchewka dostrzegł niedawno krzątaninę przy ustawianiu cekaemu. Nie

chcę marnować resztek amunicji, przerwaliśmy ogień, aby przekonać się o jego skuteczności. Jak ogromny, groźny w swojej kojącej mocy szum odczuliśmy ciszę przelęgającą się nad stanowiskiem. Bez słowa patrzyliśmy po sobie, uśmiechając się głupio. Marchewka usiadł na ziemi i bardzo głośno wysmarknął kurz z nosa. Nagle Kanter poderwał się od jaszca i podbiegłszy do porucznika Herbstę zaczął bez ceremonii szarpać jego rękaw. — Pan popatrzy, panie poruczniku, przodki idą!

Skoczyliśmy wszyscy na równe nogi. Z lasku wyjeżdżały dwa... trzy... cztery przodki. Zbliżyły się do widmy spokojnym klusem. Na czele trzasł się na swej chudej chabcie Funt i z daleka dawał nam ręką uspokajające znaki.

— Odbój, przygotowanie do marszu — powiedział porucznik Herbst. Głos jego drżał jakoś dziwnie.

Po chwili pierwszy zaprzag wjeżdżał na wydmę. Ale w tym samym momencie z takim trudem wywalczona cisza rozprysła się znowu zjadłym stukotem. Szpicowy koń podreżny wspiął się narowicie, wydając krótkie, podobne do skowytu rżenia.

— Pójdzie — zawał porucznik Herbst, dopadłszy zwierzęcia nim jedyny zdołał zsięgnąć się z siodła. — Drasnęło go w nogę. Zjeżdżaj bracie, dociagniemy działa sami.

Rzuciliśmy się do kół, napieraaliśmy na szprychy całą siłą. Piach przelewał się nam przez ręce, przuszył w oczy. Kule szły gęsto i nisko, furczały nam wokół kolan. Raa-zem, raa-zem, jeszcze jeden obrót, jeszcze jeden! Przodek mojego działła kręcił się w miejscu, spłoszone konie tańczyły, szarpacie niespokojnie postronki. Wreszcie trzasnęła zaczepa i natychmiast armata potoczyła się szybko wód. Ludzie wskakiwali w biegu. Dopadłem mojego węgria, któremu środkowy jeźdźcy puścił wodze. Ktoś krzychał z tyłu przestraszone głosem. Ściągnąłem wędzi-dło.

— Panie podchorąży — wołał Galosz — Cwalina ranny. dostał w udo.

— Ładujcie go na przodek, przedko!

— Bardzo krwawi i płacze.

— Ładujcie go na przodek, do cholery!

Pognaliśmy drogą, przemknęliśmy pędem przez lasek. Zaraz za nim było miasteczko Narod. Z turkotem wtoczyliśmy się na opustoszały rynek. Na stopniach jakiegoś zamkniętego sklepika siedział pokracznie skurczony, sparaliżowany widocznie, stary żyd w chałacie i maleńkiej okrągłej czapeczce. Jedyna pozostała tu żywa istota. Na nasz widok podniósł kościano białą, chuda dłoń i wskazał otwierającą się po przeciwniej stronie ulice. Jego wargi melody bezgłośnie jakieś wyrazi. Zrozumielismy. Tam poszło wojsko. Po chwili grzmielismy już szosa. Śmiałem się głośno, śpiewałem coś na całe gardło, nie słysząc sam siebie w łoskocie kopyt i stalowych obręczy, ale widziałem, że i inni mają usta szeroko otwarte od radosnego krzyku.

Doktor Kurek wydzielił każdemu piatek tykowanej słoniny i główkę cebuli. Kroił z wielkim namaszczeniem, z drobiazgową dokładnością. Był sprawiedliwy, nie chciał nikogo ukrzywdzić choćby o milimetr. Ale Cwalina odmówił jedzenia. Miał gorączkę. Od czasu do czasu wyprętał się na ziemi i szczyrzył żeby w bolesnym grymasie.

dalszy ciąg na str. 10-tej



Gdzie szukać Kitbuki? Na szczęście nie było go wciąż pod murami Acre. Mijając bramę, której zakończona zębami krata unosiła się ze zgrzytem nad jego głową, Hettum zastanawiał się. Jeżeli Tartarzy nie przybyli dotychczas z Sydonu do Acre, znaczyć to mogło tylko jedno, że nie idą wybrzeżem morskim, ale okrążają ziemię senioratu Tyru i Toronu, i zachodzą ku stolicy od południa. Jeżeli rozumowanie takie było słuszne, trzeba było jechać na południo-wschód od Acre w okolicę Taboru. Popatrzył pod blask słońca w tamtym kierunku; ale półkolisty szczyt był niewidoczny za zielonym wałem wzgórz nadbrzeżnych, w którym niby bramy w murach miejskich, czerniły się ujścia wadich. Pogodne niebo leżało nieskalanym błękitem na czubkach Tell Ayadiya, Tell Keisan i Tell Da'wuk. Zarosłe trzciną i pokryte zieloną rzęsą jezioro Nahr al-Namain odbijało blask słońca, jedynie środkiem swej znieruchomiałej powierzchni. Hettum skierował konia na południe i pojechał wzdłuż jeziora. Wyruszał sam, jedynie w towarzysystwie giermka. Za nim, w mieście, biły dzwony w kościołach, a ich dźwięk splątał się z szumem morza, wtaczającego się na płaski brzeg. Przed sobą miał zrab Karmelu odcinający się ostro na tle migoczącej wody. U jego stóp białe mury Kaiffy. Słońce paliło, dzień zapowiadał się upalny. Daleko, na biegnącej łukiem plaży, widział grupę jeźdźców, wlokących się leniwie po samej linii zalewu, to były patroly utrzymujące łączność między obu miastami. Za Tell Kardana skręcił na wschód. Słońce ziało mu teraz prosto w twarz, niby przyginane wiatrem ognisko. W miarę jak oddalał się od morza upał zdawał się rość. Równocześnie rósł w nim niepokój: a jeżeli rozminie się z Kitbuką? Rozmowanie, że Mongołowie nie chcieli wkroczać na ziemię Monforta wydawało się słuszne. A jednak... Mimo tego jechał w raz przyjętym kierunku. Musiał przebyć duży szmat drogi, zanim znalazł się w cieniu wąwozu. Wyszło łóżysko st umienia, zasypane białymi kamieniami, wywiodło go między wzgórz. Tutaj było łatwiej oddychać. Kraj był pokryty bujną zielonością. Wadi prowadził go ciągle w górę. Wreszcie wyjechał na równinę falistą, pokrytą tu i tam kępami drzew. Droga to się wznośniła, to znowu zsuwała w dół; z daleka była widoczna, niby kawałki białej taśmy przecinającej zielone zbocza. Każde wzniesienie odkrywało nowy widok. Można było spostrzec osady, niby sterty białych kamieni, rozsypane na zboczach. Tępy szczyt Taboru górował nad wszystkim, podobny ogromnej kopie siana. Dalej za nim czerwieniły się wzgórza Gilead, skrywające wąwóz Jordana.

Koło południa zatrzymali się w cieniu kępy tamaryszków, dla przeczekania najgorętszych godzin. Rozsiodlane konie poszły paść się w trawie. Hettum wyciągnął się na ziemi z siodłem pod głową. Po bezsennej nocy czuł zmęczenie, ból głowy i ociężałość. A przecież nie mógł

spać! Myśl pracowała porywczo, oczy nie chciały się zamknąć. Nad nim gałęzie wisiały nieruchomo w powietrzu bez najłżejszego powiewu. Z dala dochodził słaby dźwięk piszczałki pastucha. Przestrzeń zdawała się drgać, dokuczliwy pot zalewał czoło, spływał czasami na kark grubą kroplą. Ile razy przebiegał myślą wszystkie wypadki tej nocy: rozmowę z patriarchą, burzliwą kłótnię u Temolariuszy, wreszcie nieoczekiwaną propozycję wielkiego mistrza. To były trzy wydarzenia nie dające się w żaden sposób spiąć w jeden łańcuch. Czy nie powinien był jeszcze raz pójść do Pantaleona? Zrezygnował z tego dla pośpiechu, a może także i dlatego, że nie chciał widzieć jak się zalamuje sojusznik. Wolał pozostać z przekonaniem, że w Acre jest człowiek, który mu wierzy i który usprawiedliwia jego postępowanie. Powiedział tylko Berardowi by zawiadomił patriarchę o ich porozumieniu, zaś wielki mistrz obiecał to zrobić. Jeszcze raz rozważał w myśli wszystkie możliwości wynikające z nowej sytuacji. Templariusze, sądził, to jest naprawdę ktoś. Oni także potrafili zyskać sobie sojuszników. Rycerze teutońscy pójdą na pewno za nimi. Również można będzie liczyć na Wenecjan. Wielu rycerzy w Syrii jest dłużnikami banku Templum. Dalej — rycerz de Sargines, o niezbyt może lotnym umyśle ale bezwzględnie uczciwy. Bohemund powinien wpłynąć na Plezencję... Sytuacja nie jest beznadziejna, myślał, nawet po tym co się stało. Pod warunkiem jednak, że Kitbuka nie napadnie przedtem na Acre. I znowu ogarnął go lęk, czy wybierając drogę na Seforis, nie rozminie się z Mongołami.

W trawie sykały koniki polne. Giermel zasnął i chrapał oparty o pień drzewa. Hettum zagubił się w końcu w swych rozważaniach. Upał i zmęczenie odbierały mu jasność myśli. Przymknął oczy i leżał, patrząc w niebo. Nieoczekiwanie usłyszał obok siebie stukot kopyt koni. Leniwie odwrócił głowę, przypuszczając, że to ich konie wyszły na drogę, lecz zobaczył kilku jeźdźców mongolskich z pikami w ręku siedzących na małych konikach.

Na chwilę odżyło w nim wspomnienie tamtego dnia w Aleppo. Zdawało mu się, że widzi w spojrzeniu Mongołów złośliwość i dziką drażliwość. Otaczali Hettuma półkolem, jakby gotowi rzucić się nań. Spieszna myśl przeleciała mu przez głowę: może śmierć Sananga zniszczyła przyjaźń i zemsta dokonana na Sydonie jest początkiem walki z chrześcijanami? Odruchowo oparł dłoń na rękojeści leżącego obok w trawie miecza. Mongołowie patrzyli na niego ciągle milcząc. Najstarszym wśród nich był dziesiętnik — harbanu nojon. Miał twarz bardziej brązową niż żółtą, połyskującą, o ustach wydatnych i małym nosie. Na jego szyi wśród kolorowych paciorków i wiszących na kolorowych sznurkach torebek z talizmanami połyskiwał miedziany krzyż nestoriański. Nagle Mongoł rzekł głosem gardłowym, nie robiąc żadnego gestu:

— Mendu.

Jan DOBRACZYŃSKI

SPOTKANIE

— Mendu — odpowiedział Hettum. Mongołowie musieli go poznać. — Witajcie — powiedział, wspierając się na mieczu niby na kij. — Chcę zobaczyć nojo na Kitbukę. Czy pada za wami?

— Tak. Gur nojon jedzie za nami o sześć li.

— To blisko.

— Gur nojon zatrzyma się. Tam za wzgórzem jest Białe Miasto, które beki polecił zniszczyć...

Hettum skrzywił się, Kitbuka szukał widać dalej zemsty. Jadąc, poczekał się, że wódz, po spaleniu Sydonu, ostygnie z gniewu.

— Dobrze — powiedział — jadę mu na przeciw...

Wodzie do giermka, obudził go szarpnięciem za ramię. Kazał siodłać konie. Młotem chwile jeszcze stali, patrząc; potem dziesiętnik wydał krótki rozkaz i za jego przykładem ruszyli w drogę. Hettum chwilę patrzył za nimi. Bezmyślnie gapiący się przed chwilą żołnierze, stali się znowu czynnymi zwiadowcami. Dwóch rzuciło się szybkim galopem i dopadło najbliższego wzgórz; reszta posuwała się za nimi wolniej, nie drogą, ale wzdłuż linii drzew.

Jedziemy — rzekł Hettum podchodząc do osiodłanego już konia. Wolno podniósł nogę do strzemięcia. Był zadowolony, że nie rozminął się z Kitbuką a jednocześnie już się zastanawiał, jak z nim będzie rozmawiać. Jadąc tutaj, nie myślał o samym spotkaniu. Wszystkie jego myśli pochłaniała troska aby zdążyć i aby się nie rozminąć. Ale teraz tamte niepokojne odchodzący od niego. Spod nich, niby kamień z dna wysychającego strumienia, wyrastała obawa: jak będzie wyglądała ich rozmowa?

Lecz zaledwie znalazł się na siodle, inna myśl zapaliła się mu pod czaszką z taką gwałtownością, że aż oparł się obu dłońmi o tylny łęk. Jezus, Maryja! Zdawało mu się, że nowy grom, jeszcze straszniejszy niż wszystkie poprzednie, zsuwa się mu na głowę. Zawołał głosem przeraźliwym: „w konie!“ — i z siłą wbił ostrogi w boki wierzchowca. Koń zachrapał, wspiął się, a potem pocwałował w dół kamienistą ścieżką. Ciągłymi uderzeniami Hettum zmuszał go do dalszego, szaleńczego biegu. Nie zwrócił uwagi na to, że giermek, który miał gorszego konia, pozostał w tyle. Ścieżka wyniosła go na mały pagórek. Przed sobą miał zielone wzgórza, niby grzbiety leżących obok siebie zwierząt. Znowu galopował w dół, potem znowu w górę. W uszach dzwoniło: byle bym tylko zdążył! Jeżeli nie zdąży... Niebo nad nim było pogodne, jakby nie brzemienne burzą: żaden obłok, żadna chmurka nie zaciemniały jego gładkiego tła, rozpiętego po obu stronach kopyły Taboru. Barki konia pokryły się potem, z pyska rwała się kawałkami piana i padała na nogi Hettuma. Trzeba było przejść do stępa. Był sam — giermek zgnębił się. Ciągłe z niepokojem patrzył na niebo. Mijał właśnie małą wioskę w dolinie. Spalony na ciemny brąz mężczyzna kosił łan owsa koło drogi. Hettum zatrzymał konia i zawołał na pracującego. Człowiek na dźwięk głosu rzucił się do ucieczki; dopiero obejrzawszy się i zobaczywszy, że Hettum jest sam — lekliwie i nieufnie zawrócił. Czarne włosy wizerwały spod turbana, gęsta, niebieska prawie broda obiegała długą twarz.

— Czego chcesz, panie? — pytał językiem syryjskim, używanym także przez Arabów.

— Czy daleko jeszcze do Białego Miasta?

— Nie — zapewnił chłop. Wyciągnął rękę: — Leży za tamtym wzgórzem...

Hettum sięgnął do trzosa i wydobywszy monetę rzucił ją chłopu. Obdarowany schylił się nisko.

— Dzięki ci, panie. Masz dobrego konia, za parę chwil tam dojedziesz.

Znowu gwałtownym uderzeniem ostróg zmusił konia do biegu. Lecz galop był ciężki, zwierzę musiało już być zmęczone. Pot zlewał się na jego skórze coraz większymi plamami.

Wreszcie był na wzgórzu. Gdy dojeżdżał biło mu serce. Obawiał się, że zobaczy dolinę pełną dymu, pod którym miotają się języki ognia. Ale miasteczko leżało spokojnie w połowie zielonego wzgórz. Było białe jak jego nazwa lub jak kępa lotosów. Otaczały je wieńcem drzewa, między którymi widać było pasące się stada. Panowała tu cisza i atmosfera zdumiewającego spokoju. Jakby nic się nie działo i nic się nie miało stać. Jakby życie z całą gorączką zmagania, walk i niepokojów pozostało po drugiej stronie grzbietu Nebi Sa'in. Cisza sprawiła, że Hettum zatrzymał konia. Patrzył na domy o płaskich dachach i na ciężki, szary złom kościoła nieco niżej. Po raz drugi był tutaj. Poprzednio odwiedził Nazaret razem z Ludwikiem. Orszak króla Francji jechał tą samą drogą od Acre. Gdy stanęli na szczycie wzgórz i jeden z księży powiedział: „oto, wasza dostojność, Nazaret“ — Hettum posłyszał jak Ludwik począł posapywać i przedko pociągać nosem. Stali — w tym samym miejscu gdzie stał obecnie Hettum — czekając aż Ludwik da znak do dalszej jazdy. On jednak zamarł bez ruchu na siodle. Tylko usta poruszały się — widać się modlił. Dla niego to nie było pełne ciche miasteczko na zboczu wzgórz — ale kościół. Nagle uniósł się w strzemięch i zeskoczył na ziemię. Przykleknął. Prędko począł ściągać buty. Zanim służba nadbiegła on już stał znowu wysoki, bosy, z przetkanymi siwizną włosami opadającymi na ramiona. Wyciągnął przed siebie ręce jak ślepiec, który rusza w drogę. Ktoś, chyba rycerz Joinville, powiedział: „Sir, jesteście słabi... A to jeszcze daleko... I piasek pali...“ Odwrócił głowę z uśmiechem. „Krewniaku, powiedziałś łagodnie, czy sądzisz, że wypada mi deptać butem ziemię, po której chodzili bosą stopą mój Zbawca Jezus i Jego Matka, Maryja...?“

Wtedy wszyscy zdjęli buty i powolną procesją szli ku świątyni Zwiastowania. Hettum szedł wtedy także z innymi. Rozgrzane kamienie, pamiętał, przypalały stopy. Otaczający króla księża poczeli śpiewać: Salve Regina... Ludwik, baronowie, rycerze, żołnierze, giermkowie podjęli śpiew. Hettum pojął wtedy, po raz pierwszy, że w armeńskim wyznaniu jest jakaś ogromna luka, którą zdolne jest zapełnić tylko to śpiewanie. Bóg w katedrze w Sis unosił się niezmiernie wysoko; był niedosiegalny, niedotykany, surowy dla rąk ludzkich. Tutaj było inaczej. Tutaj Bóg zdawał się czekać na nich na skraj drogi w tłumie żebraków i smagłych na twarzy chłopców, trzymających się sukien matek. Jakby przez pamięć dla tamtej chwi-

li zsunął się ze spoczonego, ciężko robiącego bokami konia. Szedł, patrząc na kościół daleko przed sobą. Przypominał sobie: Mater misericordiae... Ludwik, myślał, z taką samą żarliwą wiarą szedłby tą drogą, gdyby był wrócił zwycięzca. A przecież — nic nie przyszło z jego świętości! Przyjechał król, którego uważano za świętego — i wszystko stracił. Jestem ja — schizmatyk, jak oni mówią — i mam wszystko zyskać — i więcej jeszcze? Nagle zrozumiał, że dorasta w nim obawa. Nie, nie, bronił się, los Ludwika nie może być losem zwykłym! Nie odrywając wzroku od coraz wyraźniej rysującego się na tle miasta kościoła przekonywał siebie: on jednak jest wielkim królem wielkiego królestwa... Stracił tu, ale nie stracił wszystkiego... I ma żonę, która jest towarzyszem wiernym jego planów... Ja gdybym przegrał, straciłbym wszystko! A Zabel... To nie może być, abym nie zwyciężył! Zaciskał zęby: muszę zwyciężyć!

Był już blisko zabudowań, kiedy wydało mu się, że w dzwoniącej ciszy zawirował nagle jakiś dźwięk. Nastawił uszu. Czyżby...? Pulsująca w skroniach krew utrudniała słuchanie. Ten długi krzyk, rozpoczynający się nisko a potem, poprzez wszystkie tony, przechodzący w wysokie, zwierzęce wycie. Może mi się zdaje, uspakaja siebie, może to ryczą krowy lub wyją psy... Obejrzał się za koniem. Ale zmęczony wierzchowiec pozostał przy kępie czystej trawy. Nie zawrócił ku niemu. Począł biec ile sił ku miasteczku. Wycie dochodziło coraz wyraźniej spoza wzgórz. To jednak było ono. Straszliwy dźwięk wtargnął w dolinę świętego ustronia. I to on go tutaj sprowadził...

Minął źródło w kamiennym ocembrowaniu. Od miasteczka pędziła gromada ludzi. Słychać było wrzask dzieci, które nie mogły nadążyć za dorosłymi. Wycie wypędziło wszystkich z domów. Gnali ile sił ku gęstym krzewom. Z białej wirującej masy, powiewającej nogami i rękami, ktoś krzyknął: „gdzie biegniesz? Tartarzy...“ Ale już ludzie popędzili w dół, on zaś dobiegał placu przed kościołem. Kilku zakonników kręciło się bezradnie przed wejściem. Gdy dopadłszy muru kościoła łapał z wysiłkiem oddech, słyszał jak wykrzykują:

— Zaprzeć drzwi i bronić się!

— Przed Tartarami nikt się nie obroni...

— Ojciec Pawle, ojciec Pawle! Trzeba ukryć Najświętszy Sakrament...

— To koniec świata, bracia kochani...

Mongolski okrzyk zabrzmiał gdzieś z bardzo bliska. Nagle kilku jeźdźców wypadło spoza domów wywijając nad głowę arkanami. Franciszkanie wydali krzyk przerażenia. Część z nich wpadła przez małe drzwi do wnętrza kościoła. Słyszał jak je za sobą ryglują. Inni w ślepym popłochu rzucili się do ucieczki. Żołnierze już nadlatywali. Wtedy, podnosząc ręce w górę, krzyknął do nich po mongolsku ile sił:

— Stać!

Był bez zbroi, bez konia, bez miecza w rozpiętym kaftanie, z włosami zwierzchnymi i polepionymi potem. W jego krzyku musiała być jednak siła, skoro zamiast gonić za u-

* Fragment większej całości.

Nowość

Nowość

JANA DOBRACZYŃSKIEGO
opowiadania

NAJWIĘKSZA

MIŁOŚĆ

ukazały się nakładem Sp. Wyd. „PAX“ Inst. Wyd.

Skład główny: Zdzisław GUSTOWSKI, Poznań.

św. Marcina 34.

„Veritas“ Warszawa, ul. Włók 5.

W NAZARECIE*)

ciekającymi wstrzymali konie. Wolno podjechali i otoczyli go kręgiem. Poczł znowu wokół siebie zapach tartarskich kaftanów.

Zginę — pomyślał. Zginę nie jak rycerz w walce ale zduszony na arkanie mongolskim. Gdyby miał broń! Bez miecza wydawało mu się, że był niczym. Zginę — i wszystko przepadnie, przeleciało mu przez głowę niby gorzki wyrzut. A mimo to stał w ich kole nieulekle. Poczł się znowu tak, jak wtedy w namiocie Batu. Może jeszcze inaczej. Świadomość nieznannej siły napłynęła z głębi, niby woda z przypadkowo odkrytego, podziemnego źródła. Wtedy — tam w caulku Aleppo — miał przeciwko przeciwnikom tylko swój miecz... Nieoczekiwanie pomyślał, że miecz jest nędzną bronią. Zarabiałby może jednego z Tartarów zanim reszta rozdarłaby go pikami. A tak ich trzyma wszystkie na uwięzi spojrzeniem. I jeszcze: słusnością swej sprawy...

— Szoggun Hettum... — posłyszał nagle. To było dziwne a przecież został poznany. Miał poczucie, że otrzymał odpowiedź. Sprawa była słuszna i on był jej potrzebny. Prędko, rozkazująco zapytał:

— Gdzie nojon Kitbuka?

— Nadjeżdża właśnie — powiedział jeden z żołnierzy. Krąg Mongołów rozstał się. Na plac wkroczyła cała gromada jeźdźców. Na ich czele jechał mały człowiek na znanym Hettumowi łaciatym koniu. Hettum ruszył mu na przeciw. Zatrzymali się na parę kroków przed sobą.

— Anda... — powiedział Hettum.

— To ty, szoggunie?

Chciał dalej mówić, ale Kitbuka dał mu znak, by zczekał. Kłaniam się, taszura przywołał jednego ze swej świty. Wydał mu krótki rozkaz. Człowiek zeskokczył z konia, jakby go wiatr zdmuchnął. Pospiesznie przetał gałganem siodło i doprowadził wierzchowca Hettumowi.

— Wsiądź, anda — powiedział nojon, — wódz, jak ty, nie może stać, gdy całe wojsko siedzi na koniach.

Hettum dosiadł mongolskiego konika, choć miał uczucie, znalazłszy się na jego grzbiecie, że siedzi na psie.

— Skąd się tu znalazłeś? — pytał Kitbuka.

— Przyjechałem z Acre. Pędziłem ile siły by ciebie spotkać.

— Mnie? — Wąskie oczy wodza zabłysły. Wpatrywał się uważnie w Hettuma. — Czy wiesz — zapytał nagle — co twoi bracia uczynili?

— Wiem...

— Czy wybiegłeś na moje spotkanie by ich ocalić?

— Kitbuko...

— Nie z tego, anda! Acre musi być ukarane, jak ukarałem Sydon... Dlaczego zatrzymałeś moich żołnierzy?

— Kitbuko — powtórzył. Podjechał bliżej. — Kitbuko... Nie przyjechałem tutaj by prosić cię o litość dla Acre. Spieszylem by ci przypomnieć... Chodzi o chrześcijaństwo...

— Senang był lepszym chrześcijaninem niż są twoi bracia. Chrześcijaństwo to nie oni, ale my...

Oparł dłonie na podniesionych zbyt wysoko kolanach. Cóż odpowiedzieć Kitbuce? Ta myśl była nowa, zrodzo-

na przed chwilą. Jak to mówił Pantaleon? Nigdzie nie ma chrześcijaństwa a jednocześnie jest ono wszędzie... Nawet Ludwik to nie chrześcijaństwo...

— Lecz ty przyszedłeś tutaj zobaczyć święte miasto.

— Święte miasto?

— Przecież to jest Nazaret. Dlatego zatrzymałem twoich żołnierzy...

— Więc to jest Nazaret? — Kitbuka rozejrzał się na okół. Na jego twarzy ukazało się wzruszenie. — Więc to Nazaret? Nie myślałem, że tak wygląda. Nie wiele go wasi chrześcijanie ozdobili. Zwiadowcy powiedzieli mi, że to jest Białe Miasto. Zostaną ukarani. W czas przybyłeś, anda...

Obrócił się ku swoim i rzucił parę słów. W wojsku, które stało ciągle w gotowości do niszczenia i zabijania poczęły przebiegać jakieś rozkazy. Oddziały łączyły się i zjeżdżały w bok. Rozległ się pisk gwizdów setników. Zsiadano z koni.

— Sam widzisz, że przybyłem na czas... — powiedział Hettum.

— Owszem — przyznał Kitbuka, — by ocalić Nazaret. Miasto Isy jest święte i nie może mu się stać żadna krzywda. Ale nie myśl, anda, że przez cześć dla Nazaretu zgodzę się na oszczędzenie Acre. Oni nie zasłużyli, by mieć w swoich rękach pamiątki po Bogu. Są podli i bezmyślni. O, anda, oceniałem ich wszystkich wedle ciebie!

— Nie mów tak!

— Tak jest.

— Nie, Kitbuko, słuchaj! Czy ty nie rozumiesz czym by było zniszczenie Acre? Jeśli mamy zwyciężyć Tadżyków, musisz powstrzymać swoją zemstę...

— Nie powstrzymam jej! To niemożliwe. Raz tylko darowana była krew Błękitnego Mongoła...

— Nie możesz uderzyć na Acre!

— Uderzę! Wiem, że tam są święci kapłani... Wszystkim im daruję życie, jeśli wyjdą z miasta na moje żądanie. I tym, którym zechcesz abym darował...

— W Acre są rycerze, którzy nie dadzą się wymordować.

— Mongołowie nie przegrali nigdy!

— Lecz ci rycerze mieli iść z nami na Tadżyków.

— Na Tadżyków? Na przedwiecznego Tengri — nie! Zabójcom syna mam do ofiarowania tylko śmierć.

— A jednak, Kitbuko...

— Tak mówisz, anda, bo Senang nie był twoim synem. Gdybyś miał jego jednego i gdyby ci go zabito...

Na zółtej, polyskającej twarzy pojawił się wyraz bólu. Chwilę trwał, potem skrył się znowu i tylko przebiegał przez nieruchome oblacie niby blask z chińskiej lampy oblepionej matowym papierem. Dreszcz przebiegł Hettuma po plecach. Gdyby zabrakło nagle Lewona i Torosa... Pojawiło się w nim jednak zaraz uparte przekonanie — tak się nie może stać. Nie, nie. Zawsze wydawało mu się, że kłeski drugich są czymś zrównoważone i tylko jego kłeska byłaby kłeską nad wszelki obrachunek...

— Rozumiem twój ból — skinął głową. — I nie wiem naprawdę jaki byłbym gdyby to na mnie przyszło... Ale widzisz — położył dłoń na zwichrzonej grzywie konia Kitbuki — nie ocalimy chrześcijaństwa jeżeli

sami nie potrafimy być chrześcijanami...

Wódz nie odpowiedział. Siedział na grzbiecie łaciatego rumaka zamysłony, gnąc w palcach rękojeść swego taszura. Potem nieznacznie gestem przywołał pacholków, dał im znak, że chce zsiąść z konia. Jeden z nich natychmiast rzucił się na ziemię tworząc ze swych pleców stopień dla nóg wodza. Oddziały mongolskie, równymi szeregami zjeżdżały drogą w dół, ku studni. Osmielona zachowaniem przybyszów ludność, poczęła wyglądać spoza krzewów i murów. Uchyliła się także furtka w drzwiach kościoła i w szparze ukazało się kilka pogolonych głów. Hettum i Kitbuka szli obok siebie w tamtą stronę. Milczeli. Dopiero tuż przed drzwiami kościoła powiedział nojon:

— Niedawno nie chciałeś wierzyć, że jesteśmy chrześcijanami, a teraz tak wiele chrześcijaństwa żądasz ode mnie...

— To prawda — Hettum zgodził się w duchu ze słowami Kitbuki. Przesunął rozpostartą płasko dłoń po chropowatym murze, w miejscu gdzie poprzednio wysapywał zmęczenie. — Tak — przyświadczył — wiele trzeba czasami dać naszej wierze... — Pamięć Hettuma spoczęła na chwilę na postaci złotowłosej dziewczyny greckiej.

Twarz Kitbuki pozostała nieruchoma ale jego palce znowu zgięły trzonek od bata. Sucho zauważył:

— Mnie, anda, nie potrzebujesz o tym uczyć... — Małe, szczupłe palce z nieoczekiwaną siłą skrzyły grubą trzcinię w łuk. — Nie znalazłem chrześcijaństwa pod nogami mego konia, jak sobola, którego ktoś ustrze lił... I właśnie dlatego...

Furtka skrzyknęła, golone głowy schowały się. Zamiast nich wysunęły się na zewnątrz dwóch zakonników. Ubrani byli w bure habity. Niepewnie i lekko zbliżali się ku rozmawiającym. Postać Hettuma widocznie ich osmieliła. Zwrócili się ku niemu:

— Niech będzie pochwalony Pan nasz Jezus Chrystus...

— Na wieki wieków.

— Witajcie, szlachetny rycerzu... Wam, niewątpliwie, zawdzięczamy ocalenie. Niech Najświętsza Panna, Opiekunka Nazaretu, stokrotnie wam odplaci...

— Co oni mówią? — zapytał Kitbuka.

— Błogosławią, żeś nie zniszczył miasta... — Zwrócił się do mnichów. — Wódz wojsk tartarskich, wielki nojon Kitbuka jest także chrześcijaninem...

— Niech będą dzięki Pani naszej! — wykrzyknął starszy z zakonników. — Więc nie nam nie grozi?

— Nic.

Drugi z franciszkanów pobiegł do furtki zanieść braciom i przeorowi pomyślną wiadomość. Za chwilę z kościoła szarym tłumem wysypali się mnisi. Między nimi szedł przeor w szatach liturgicznych z krzyżem w ręku. Zwrócił się do obu wodzów z gorącą przemową po grecku, po czym przeznęgnął ich swym krzyżem, zawierającym relikwie. Otworzono szeroko drzwi kościoła i wprowadzono ceremonialnie do środka Kitbukę i Hettuma. Zakonnicy idąc śpiewali — w ich głosach czuło się radość, że groźba niebezpieczeństwa

przemienęła. Po błogosławieństwie pełnym napięcia, chciałby poczuć się Przenajświętszym Sakramentem nareszcie bezpiecznie, otoczony poprzeor zaprosił wodzów na posiłek do refektarza klasztorowego.

— Skromnie u nas — mówił, uśmiechając się, — jak przystało na braci żebrzących, aleśmy radzi... — W jego słowach także słyhać było entuzjazm. Gdy zwracał się do Kitbuki, skłaniał się nisko, jakby przed najwyższym władcą. Jego ugrzecznienie zdawało się nie mieć miary. Z wdzięczności i zapału gotów był na wszystko. — Bądźcie łaskawi, panowie...

Kitbuka potrząsnął głową. Swoim chrapliwym głosem zapytał:

— Powiedz mi, szamanie, gdzie tutaj żył Boski Isa?

— Wódz pyta — objaśniał nagle przerażonemu niezrozumiałym pytaniem przeorowi Hettum, — gdzie jest dom Pana Naszego Jezusa...

— Tu, tu, zaraz pokażę... Niech tylko dostojny wódz Tartarów zechce iść za mną... — przeor szedł przodem, żywo gestykulując. — Tędy, proszę...

Z kruchty kościelnej w prawo przez małe drzwi weszli do ponurego korytarza otwartego z jednej strony a gęszo zarosły ogród klasztorny. Korytarz wiódł ich prosto pod zwisające zbocze wzgórza. Nieopatrzenie wprowadził do ciasnego, półciemnego wnętrza, oświetlonego tylko blaskiem przychodzącym przez dwa małe zakratowane okienka pod samym stropem. Izba była częściowo budowlą a częściowo wyłożoną w skale grota. Zamiast posadki miała twardą, udeptaną polewę w dwa poziomy, wyższy w głębi, niższy — przy wejściu. Pod otworem w dachu znajdowało się paleńsko. Obok wielka kałuża na wodę deszczową i kamienne żarna. Z prawa, na ścianie, malarz-zakonnik wypisał napiszczonymi żywymi barwami gotykiem: „Hic Verbum Caro factus est“. W smutnym wnętrzu barwne słowa zdawały się płońć i przebijać mur. Były niby gwiazda odbita w głębi czarnej studni. Woń pustki i wilgoci rozpięła się podobna pajęczynie. W ogrodzie na zewnątrz wiatr poruszał gałęziami palm i ich szelest spływał łagodnie do wnętrza.

Trzech ludzi stało w progu myśląc. Myśli ich nie były blisko siebie. Przeor myślał, że dzięki naglej łaskawości Tartarów będzie można swobodniej odetchnąć i przestać głowić się nad tym, jak uchronić tę wielką relikwie chrześcijaństwa: mały, nędzny, ubogi domek nazaretański przed niebezpieczeństwami ze strony mahometan. Już się nawet zastanawiał z braćmi czy by nie należało go rozebrać i cichaczem, kamieniem za kamieniem, wywieźć do Europy. Bardzo był zmęczony życiem

Kitbuka postąpił krok do przodu. Nagle ciężko padł na oba kolana, zniżył głowę i czołem, nie ustami, dotknął polepy. Zgarbiony zamarł bez ruchu. Wiatr szeleścił liśćmi jakby pod sklepieniem łopotąły gołębie skrzydła. Daleko, niby z innego całkiem świata dolatywały krzyki pojącego konia Mongołów. Nojon kłęczał nieporuszony. W wonięjącym niewywietrzonym kadzidłem wnętrza brutalnie cuchnął jego wytłuszczony kaftan. Więc to naprawdę było tu... — niespodziewanie przebiegło przez głowę Hettuma. Otaczające go wnętrze ze stężoną postacią Kitbuki w środku, wydawało mu się jądrem jakiejś tajemnicy. Mógł być królem, myślał, a mieszkał jak żebrak. Gdyby zgodził się zostać królem, Jego królestwo... I zaraz zestałby powtórnie: a ja...? Dotknął czoła końcami palców. Skąd pojawiały się w nim te myśli i dlaczego przychodziły? Był jak człowiek, który się zbliża do zakrętu drogi — ale i ten zakręt zdaje się iść ku niemu. Są chwile dziwne... Gdy Kitbuka dźwignął w końcu głowę, Hettum od razu wiedział, że nojon ustąpił: pozostał na glinianej polepie, udeptanej tyłu ustami, swój żal. Królestwo znowu było ocalone. Jeszcze raz uświadomił sobie — zwyciężymy. A przecież myśli obce planom walki wirowały w ciszy. Coś tężalo w nim, jak szaniec, w który miał trafić grom.

Jan Dobraczyński

PODZIĘKOWANIE

Wszystkim, którzy wspomagali nas w walce z wielo miesięcy trwającą chorobą naszej córki ELŻBIETY — lekarzom, pielęgniarce, dawcom krwi, ofiarodawcom lekarstw — wszystkim, którzy potem pomogli w zorganizowaniu Jej pogrzebu — Zarządowi Cmentarza, zakładowi pogrzebowemu — którzy wzięli w nim udział lub przesłali nam słowa współczucia, wszystkim, którzy modlili się za Jej zdrowie a potem modlili i modlą o wieczną szczęśliwość Jej Duszy — tą drogą składamy serdeczne podziękowania.

D. i J. Dobraczyński

* KSIĄŻKI * * KSIĄŻKI * * KSIĄŻKI *

POWIEŚCI

ŚLĄSKI RUCH OPORU

Powieść Jackiewicza „Górnicy” ma lekki posmak egzotyki — ciekawe i zupełnie nieznanne jest zagadnienie ruchu oporu przeciw hitlerowskiemu okupantowi na górniczym Śląsku. Walka ich, prowadzona w specyficznych, różnych od sytuacji w „Generalnej Gubernii” warunkach nie jest nam zupełnie znana. Film „Stalowe serca” tej luki nie zappełnił — przeciwnie, podniecił zainteresowanie.

Dłatego z dziecięcą niemal ciekawością brałem do rąk książkę Jackiewicza. Wydaje mi się, że się nie zawiodłem. Autor, jak to sam opowiadał w ziemie na warszawskiej konferencji pisarzy, kilka lat okupacji spędził właśnie w kopalni i opisywane stosunki zna doskonale. Pozwoliło mu to trafnie uchwycić atmosferę walki z okupantem i ciekawie ją w książce przedstawić. Jednym z zasadniczych czynników, składowych się na to osiągnięcie, jest umiejętność ciekawego, wartościowego poprowadzenia akcji.

Nie należy jednak szukać w powieści Jackiewicza syntez „duży górnicy”. Autorowi niestety nie udało się to. Ukazał tylko przekonywująco oblicze górników wobec okupanta, dokonał tego, że postaci jego, jak Flis, Gwóźdź, Zaciera — zachowują się w tej walce „prawdziwie”, ale zawodzą już „pasywne” postaci Jurka Biskupicza, Maji czy nawet Moniki.

Warto przy okazji poruszyć jeszcze jedną kwestię natury ogólnej: ciekawe byłoby zastanowić się, czy lepiej „wychodzi” powieści o tematyce robotniczej, zwł. obrazujące jakiś teren „egzotyczny” (huta, kopalnia), kreślone ręką zawodowych pisarzy, czy też samych robotników. Kwestia ta nasunęła mi się przy lekturze fragmentów powieści Mirosława

Kowalewskiego „Kampania znaczy walka”, zamieszczonego w „Twórczości”. Bo niewątpliwie pracownik (w tym wypadku cukiernia) zna świetnie temat i obrazuje go z bezbłędną wiernością, czego na pewno nie dokonał Jackiewicz świadomie i wg literackich recept selekcyjnych materiałów. Ale z Kowalewskiego niewiele zrozumiałem, ponieważ w głowie powstał mi chaos nie do rozwikłania z rozmaitych wywarek, mieszarek, maszynowni itp. To niewątpliwie utrudnia percepcję utworu literackiego, a błąd to nie rzadki. Pisarz zawodowy (Jackiewicz, Pauksztła w „Trzeciej zmianie”) potrafił go uniknąć. Jeszcze raz więc wypadnie tu błagać pisarzy, aby zwiększyli produkcję tego typu dając przykład, ucząc „outsiderów” artystycznego „szlifowania” dzieła. Nie można mieć do nich pretensji, że jeszcze tej sztuki nie posiadli, skoro nie mają wzorów, a szkoda, żeby ich pełne świeżości i głębokiej miłości tematu książki miały być tą wadą przyzgodną.

Wracając jeszcze do powieści Jackiewicza trzeba stwierdzić, że jest ona udanym portretem walczących górników, choć słabiej „wyszło” to. Szkoda też, że styl powieści nie jest jednolity: w pewnych momentach jest mocny, „za krzepy”, „górnicy”. („Dostarczył, jak nieco dalej podnoszą się Muślin i Wiewiórka. Muślin dusi się i kaszle. Rzyga”), chwilami apocryzowany, rozmiękły (Opadły liście, przyszyły dnie dżdżyste. Rankami mgła stała na polach...). Dialogi wyszły raczej zwycięsko z tych poetyckich pokus.

W. R.

*) Aleksander Jackiewicz: „Górnicy”. Powieść. Wielkopolska Księgarnia Wydawnicza 1949. Okładkę proj. Jan Marcin Szancker. str. 188.

„UROKI ŚWIATA”⁽¹⁾

„Uroki świata” Alojzego Jiráska, to miła lekka lektura w stylu Dumasa, oczywiście na małą skalę. Jeśli chodzi o inne pokrewieństwa literackie, to może należałoby tu jeszcze wymienić „Sceny z życia Cyganerii” Murgera, przy czym t. zw. cyganerie reprezentują tu tylko malarz Chenier i muzyk Kalina. Zastrzegam się, że to „pokrewieństwo” odnosi się jedynie do tematyki.

Akeja „Uroków świata” rozpoczyna się podczas Kongresu Wiedeńskiego, a kończy w cztery lata po bitwie pod Waterloo.

W tym samym domu przy jednej z ulic Wiednia mieszka ciekawny starzec Grzegorz Feliński wraz z młodą i piękną córką Zofią i wnuczkami sierotą oraz dwaj młodzi artyści, w których sercach budzi się miłość do Zofii. Bardziej błyskotliwy i piękniejszy Chenier zyskuje jej wzajemność. Kalina nie zdradza się ze swym uczuciem i cierpi w milczeniu. Później, gdy malarz, zyskawszy sławę i majątek i opętany przez złą miłość do wyrafinowanej kochanki księżnej Esperenza coraz bardziej oddala się od Zofii, wierny muzyk na próżno usiłuje skłonić go do powrotu i w dalszym ciągu otacza Zofię i jej

ojca najczulszą i bezinteresowną opieką. Zofia ocenia wreszcie głębokie i prawdziwe uczucie Kaliny i zostaje jego żoną. Płochy Chenier, który jednocześnie traci sławę, majątek i zostaje odrzucony przez księżną za późno niestety poznaje swe błędy. Okupuje je bohaterską śmiercią pod Waterloo. Zdradziecka urodzieliśka w kilka lat po śmierci swej ofiary jest przypadkowo świadkiem szczęścia Zofii i Kaliny.

Już z tego pobieżnego przeglądu treści widać, że powieść ta nie stawia problemów, nie zmusza do myślenia, że operuje wielkimi uproszczeniami i sporą dozą naiwności.

Ale szybki tok akcji bez zbytecznych dłużyń, dobre rozwiązywanie sytuacji, żywe sylwetki, wyraźnie zarysowane tło historyczne stanowią niewątpliwie zalety tej powieści.

Zresztą nie należy zapominać, że taki klimat sentymentalno-naiwny był właściwy powieściom owej epoki.

W sumie książka ta stanowi miłą rozrywkę i przez cały czas utrzymuje zainteresowanie czytelnika, co dobrze świadczy o talencie narracyjnym autora.

Autoryzowany przekład Zdzisława Hierowskiego — bez zarzutu.

Warto zaznaczyć, że główna bohaterka tej powieści jest Polką i że Polce i Polakom poświęcił autor wiele przyjaznych słów.

Pod adresem wydawców należy wysunąć zarzut, czemu choćby króciutkim wstępem nie poprzedzili już drugiej

przełożonej na język polski powieści Jiráska. *
Se.

¹⁾ Alojzy Jirásek: „Uroki świata”, powieść, przekład autoryzowany Zdzisława Hierowskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1950, str. 222.

**

NAUKA, MIŁOŚĆ I SPORT

Powieści z życia studenterii są na ogół chętnie czytane przez młodzież, która szuka w nich odbicia własnych doznań, i przez starszych, którzy z leką w oku przypominają swe młodzieńcze lata.

Powieść W. Dobrowolskiego*) z życia studentów radzieckich nosi zupełnie specyficzny charakter. Jej bohaterowie, to młodzi ludzie, którym wojna przerwała rozpoczęte studia, a teraz w trudnych warunkach powojennych, kontynuują je jeszcze w swych wojskowych, szarych płaszczach, kontynuują je w poczuciu jak najszybszego nadrobienia straconego czasu.

Ciężki okres wojenny nie odebrał tym młodym ludziom radości życia, ani zapалу do pracy, do zdobywania wiedzy. Raczej zahartował ich bardziej do zmagania z przeciwnościami i trudnościami życia.

Wiktor Czerkaszin, centralna postać powieści, student trzeciego roku wydziału fizyczno-matematycznego, opuścił front w randze porucznika z licznymi odznaczeniami, stanowiącymi dowód jego waleczności. Obecnie jest najlepszym z grupy studiujących. Jego referaty, zgodnie z opinią profesora, noszą już charakter rozpraw naukowych. Wiktor jest poza tym społecznikiem, ogólnie lubianym kolegą, no i ma powodzenie u koleżanek, z czego sobie w swej skromności i prostocie ducha nie zdaje sprawy. Wiktor nosi w sercu młodzieńcze uczucia do Tamarę. Tamara to jego pierwsza miłość. Ot, chodzili kiedyś razem do parku. Wiktor nosił jej teczkę i był „po uszy” zakochany. Potem wszystko się rozwiało. Tamara wyjechała, wybuchła wojna. Teraz przelotnie, przypadkowe ujrzanie Tamarę w trolleybusie rozpala w Wiktorze przytłumione czasem uczucie. Nic to, że łaskawym okiem spogląda na niego siostra kolegi frontowego, Musia; że kocha się w nim skrycie najzdolniejsza i ładna koleżanka z wydziału, Nina. Wiktor czeka na Tamarę. Następują jeszcze inne spotkania i wreszcie ze wszystkiego wygląda, że Nuna wyjdzie za Pompiliusza. Trzeba dodać, że Tamara zapowiada się jako świetna pianistka, jako że z powodzeniem uczęszcza do konserwatorium, a co do Wiktor, wiemy już, że będzie z niego doskonały inżynier-fizyk.

Tak wygląda główny wątek powieści. Są oczywiście i inne. Tragiczna, ale szczęśliwie zakończona historia ciężko cho-

przełożonej na język polski powieści Jiráska. *
Se.

*) W. Dobrowolski — Trzej w szarych płaszczach — powieść. Tłum. J. Brodzki. Wyd. „Prasa Wojskowa”, Warszawa

E S S A Y E

NAD MICKIEWICZEM

Znany poeta Julian Przyboś wydał ostatnio zbiór swych esejów o twórczości Mickiewicza.*) Ciekawa to lektura. Bo Przyboś słusznie powiada w jednym z esejów, że najlepiej rozumie poezję — własnie poeta.

rego żołnierza Czemieżowa. Dziwne losy miłości studenta Wołodii i Niny; miłości zakończonej również pomyślnie dla obojga. Wreszcie interesująca i pouczająca historia profesora Dierewianki, który choć stracił w czasie wojny swą najbliższą rodzinę, odzyskał ją po raz drugi w środowisku studentkim.

O ile w powieści Pristley'a „Trzej panowie w cywilu” panuje nastrój raczej pesymistyczny, o tyle w powieści Dobrowolskiego, która jest świadomą antytezą koncepcji pristleyowskiej — optymizm, pogoda ducha i brak głębszych powikłań psychologicznych świecą niezaprzeczalnym triumfem.

Książka Dobrowolskiego przeznaczona jest dla najszerszych mas czytelników, ze szczególnym uwzględnieniem młodzieży, o czym świadczą chociażby liczne ilustracje, a przede wszystkim wyraźny charakter moralizatorsko-dydaktyczny, cechujący całość utworu. Tendencja jednak, choćby najbardziej zdrowa, nie może służyć twórczości sztuczności, postaciami z papieru, a nie z krwi i kości. Taką postać z książeczki dla grzesznych dzieci jest właśnie bohater powieści — Wiktor. Doskonały żołnierz, wielki patriota, niezwykle pilny i uzdolniony, wysportowany, uprzejmy, koleżeński, subtelny wobec kobiet. Słowem — ideał człowieka! Przymnam się, że nie wierzę w ludzi bez wad! Mogą to być wady, zwalczane w sobie (jak u Wołodii), mogą niknąć wobec stopniowo rozwijanych cech pozytywnych (jak u Borysa, ongiś „bezprzornego”, obecnie najzdolniejszego na wydziale studenta), ale żeby nie istniały w człowieku — jest to raczej wątpliwe.

Sądze, że Dobrowolski sam obracał się w środowisku studentkim i poznał je dobrze, o czym zresztą świadczy cała powieść, ale opisany przez niego Wiktor — to chyba konglomerat dodatnich cech co najmniej trzech różnych Wiktorów.

Mimo tych usterek w kompozycji i pewnych niedociągnięć w opracowaniu polskim (przekład i korekta) powieść Dobrowolskiego, już choćby ze względu na jej interesujący temat, będzie się cieszyć popularnością, zwłaszcza w bibliotekach świetlicowych i szkolnych.

*) W. Dobrowolski — Trzej w szarych płaszczach — powieść. Tłum. J. Brodzki. Wyd. „Prasa Wojskowa”, Warszawa

odkryć główny walor, wielki urok esejów Przybośa, wskazywałibyśmy ten właśnie ich moment. Bo Przyboś, poeta wysokiej klasy, obdarzony jest wybitną poetycką intuicją i głębokim artystycznym smakiem. Jego sądy o twórczości Mickiewicza są urzekająco nowe, szczerze i w większości słuszne. Cóż za pasjonujące zadanie dla czytelnika esejów Przybośa skonfrontować swoje sądy, częstokroć zastępe, konwencjonalne, płytkie, z odkryciami poety. Tak np. Przyboś przekonująco definiuje rolę i charakter słowa w twórczości Mickiewicza, trafnie ocenia literki lozańskie, nowatorstwo i odkrywczość autora „Sonetów krymskich”, „Dziadów” i przekonująco przeprowadza rozróżnienie (bardzo subtelne) między charakterem poezji Mickiewicza i Słowackiego

Wydanie pracy radzieckiego szekspirologa, Morozowa*), jest w dorobku „Czytelnika” pozycją niewątpliwie dodatnią.

Pierwszą istotną cechą tej książki jest dokładność w odtworzeniu stosunków społeczno-politycznych epoki, która wydała Szekspira. „Była to epoka — pisze Morozow — kiedy runęły stosunki starego, feudalnego świata, które wydały się przez wieki nienaruszalne i niezmiennne, w której rozdziły się nowe, burżuazyjne stosunki”. Na tle tej przełomowej epoki ukazał nam autor postać Szekspira, jego życie i dzieło, nie wnosząc wprawdzie żadnych rewelacji, ani odkryć w zakresie szekspirologii, ale podając rzeczy ogólnie znane w sposób przystępny i interesujący. Nie znaczy to jednak, że praca Morozowa nie wnosi niczego nowego do naszej wiedzy o Szekspirze. Nowością są tu np. ciekawe wypowiedzi Marksa i Engelsa o sztuce dramatopisarskiej twórcy „Hamleta”. Również inowacje stanowi rozdział o losach twórczości Szekspira w Rosji przed — i po — rewolucyjnej. (Np. miara zainteresowania, jakim cieszą się w ZSRR sztuki Szekspira, może być fakt, który podaje za Morozowem, iż jedna ze sztuk wielkiego Anglika, mianowicie „Wiele hałasu o nic”, nie schodzi z repertuaru teatru im. Wachtangowa już od dziesięciu lat.

Jeśli chodzi o charakterystykę najistotniejszych cech w całokształcie twórczości Szekspira — Morozow w zasadzie ustala je podobnie, jak to czynią i inni szekspirologowie. A

Jeśli chodzi o charakterystykę najistotniejszych cech w całokształcie twórczości Szekspira — Morozow w zasadzie ustala je podobnie, jak to czynią i inni szekspirologowie. A

Jeśli chodzi o charakterystykę najistotniejszych cech w całokształcie twórczości Szekspira — Morozow w zasadzie ustala je podobnie, jak to czynią i inni szekspirologowie. A

Jeśli chodzi o charakterystykę najistotniejszych cech w całokształcie twórczości Szekspira — Morozow w zasadzie ustala je podobnie, jak to czynią i inni szekspirologowie. A

Jeśli chodzi o charakterystykę najistotniejszych cech w całokształcie twórczości Szekspira — Morozow w zasadzie ustala je podobnie, jak to czynią i inni szekspirologowie. A

Jeśli chodzi o charakterystykę najistotniejszych cech w całokształcie twórczości Szekspira — Morozow w zasadzie ustala je podobnie, jak to czynią i inni szekspirologowie. A

Jeśli chodzi o charakterystykę najistotniejszych cech w całokształcie twórczości Szekspira — Morozow w zasadzie ustala je podobnie, jak to czynią i inni szekspirologowie. A

go. Trafnie też przeprowadza kwestię „słabego i mocnego wiersza” (przeciwstawienie „Farysa” lirykowi „Na Alpach w Splügen”). Myliłby się jednak, kto by przypuszczał, że sądy Przybośa są jednostajnie entuzjastyczne. W książce pt. „Czytając Mickiewicza” trafiają się tony słusznego i odkrywczego na ogół krytycyzmu (np. zaliczenie „Konrada Wallenroda” do utworów martwych, scharakteryzowanie tzw. „poetyckich wprawek” w twórczości Mickiewicza itp.). Wyklucza to wszelką jednorodność tych ciekawych i głębokich esejów. W. R.

*) Julian Przyboś: „Czytając Mickiewicza”. Okładkę proj. Jan S. Miklaszewski. Wyd. „Czytelnik”, 1950. Str. 184.

*) M. Morozow — Szekspir. — Tłum. Wład. L. Evert. Spółdz. Wyd.-Ośw. „Czytelnik” — Warszawa, 1950. Stron 222.

więc podkreśla głęboki humanitaryzm Szekspira, dla którego człowiek stanowi centralny punkt twórczego zainteresowania. Dalej — Szekspir, jako głosiciel równości między ludźmi i spójności podstawowej komórki społecznej — jaką jest rodzina. Te hasła ukryte mniej lub więcej głęboko w poszczególnych utworach wielkiego pisarza, świadcza wymownie, jak daleko wyprzedził on swą epokę, łącząc niezwykły talent z postępowością przekonań.

Jeśli porównać pracę Morozowa z najbardziej chyba znaną u nas przed wojną książką o Szekspirze, pióra Władysława Tarnawskiego, łatwo można się przekonać, że o ile prof. Tarnawski kładzie zasadniczy nacisk na wnikliwą analizę krytyczną poszczególnych utworów Szekspira, stosując przy tym empiryczną metodę streszczenia całości i cytowania wielu fragmentów — o tyle Morozow interesują raczej momenty obyczajowo-historyczne, towarzyszące powstaniu i późniejszym losom danego utworu. Która z tych metod ma większe znaczenie dla zaznajomienia czytelnika z twórczością Szekspira — trudno powiedzieć. Natomiast bezsprzecznie warto jest zaznaczyć się z każdą nową książką o Szekspirze, o którym powiedział współczesny mu poeta angielski, Ben Jonson: „Należy on nie do jakiegś jednej epoki, ale do wszystkich czasów”.

K. G.

UKAZAŁA SIĘ KSIĄŻKA
DLA DZIECI
SP. WYDAWNICZA PAX.
PRZYGODY GUCIA
PINGWINA
ALEKSANDRA RYMKIEWICZA
ilustr. W. BUCZA cena 430 zł.

TYDZIEŃ KULTURALNY TYDZIEŃ KULTURALNY TYDZIEŃ KULTURALNY

W Warszawie

W ostatniej dekadzie sierpnia bawiła w Warszawie, a potem w innych miastach kraju, delegacja wybitnych fizjologów radzieckich powracających z Kopenhagi, z międzynarodowego Zjazdu Fizjologów. Na czele delegacji stał członek rzeczywisty Akademii Nauk ZSRR Konstanty Bykow. W skład jej wchodził ponadto — czł. rzeczywisty Akademii Nauk ZSRR — Aleksander Paldadin oraz członkowie korespondenci: Chaczatur Kosztajano, Ezras Asratin, Władimir Czernigowski, Aleksy Kibiakow, profesorowie Dymitry Biriukow, Wasyli Zakusow, Władimir Rusinow, Aleksander Wołochow oraz współpracownicy Akademii Nauk ZSRR — Georgi Smirnow i Walery Butrow. Naukowcy radzieccy odbyli wspólnie z naukowcami polskimi szereg konferencji naukowych.

W Domu Literatów otworzona została wystawa rumuńskiej karykatury antyimperialistycznej. Zawiera ona ponad 50 prac 10 czołowych karykaturzystów rumuńskich zgromadzonych głównie wokół tygodnika satyrycznego „Urzi-ca”.

Do Warszawy przybyła grupa artystów rumuńskich: kompozytor Sergiu Natra, śpiewaczka Arta Florescu, pianista Mandru Katz i śpiewak Ion Voicu.

W Warszawie bawili kilka dni przedstawiciele filmu Chin Ludowych: scenarzysta Yu-Ming i producent Lo-Chin-Yu. Przeprowadzono rozmowy na temat wzajemnej wymiany filmów.

W związku z I Krajowym Kongresem Pokoju Zarząd

Główny i Warszawski ZPAP organizuje jesienią ogólnopolską wystawę p. n. „Walka o pokój”. Ponieważ naszą zasadniczą formą walki o pokój jest wzmocnienie i planowa realizacja produkcji — ten temat na wymienionej wystawie będzie szczególnie uwzględniony w pracach plastycznych.

Staromiejska uliczka Koźbia — łącząca Senatorską i Miodową z Krakowskim Przedmieściem i Trebacką — nabiera dawnego wyglądu. Jej strona prawa, stanowiąca tyły zabytkowych kamieniczek Krakowskiego Przedmieścia, została już zupełnie odbudowana, również odbudowane zostały zrujnowane kamieniczki po stronie lewej. Jak dawniej — nad uliczką rozpina się zabytkowa arkada. Na Krakowskim Przedmieściu przystąpiono do odbudowy — daleko już zaawansowanej — zabytkowego gmachu dawnej Resursy Obywatelskiej.

Od 24 sierpnia trwała krajowa narada aktywno-kulturalno-oświatowego związków zawodowych, która ustaliła, iż naczelnym zadaniem pracy kulturalno-oświatowej prowadzonej przez związki zawodowe jest obecnie popularyzacja założeń i metod realizacji Planu Sześcioletniego. „Frontem do produkcji” — to naczelne hasło pracy kulturalno-oświatowej.

Wybitny geograf dr Stanisław-Srokowski, prof. tyt. UW. członek honorowy i wieloletni prezes Pol. Tow. Geograficznego — zmarł w Warszawie. Zostawił po sobie 80 prac naukowych, z czego 8 ogłoszonych już po wojnie. Ostatnio redagował czasopismo „Geografia w szkole”.

W Kraju

1 września rozpoczął się w całym kraju nowy rok szkolny. W związku z tym minister oświaty Jarosiński w wywiadzie udzielonym PAPowi oświadczył, iż celem nowej szkoły polskiej jest: wychowanie młodzieży w duchu proletariackiego patriotyzmu i internacjonalizmu, w duchu umiłowania ludowej ojczyzny i w miłości do Związku Radzieckiego. Wychowanie młodzieży opierać się będzie na zasadach moralności socjalistycznej, nauką zaś ma klasę podwaliny pod ukształtowanie naukowe światopoglądu. Szkoła stać się winna pełnowartościowym orężem w rozgrywanej się walce klasowej.

Rok szkolny 1950/51 jest pierwszym rokiem realizującym założenia planu sześcioletniego w szkolnictwie. Kadry nauczycielskie w szkolnictwie ogólnokształcącym wzrosła o 7.000 absolwentów szkół pedagogicznych. Z budżetu państwa niechęć, o wolność o nową Polskę filmowego, jasnością i dobrym rze i bezwzględnej walce z okupacją — budowanych jest w tej chwili 1.040 budynków szkolnych różnego typu.

W szkolnictwie zawodowym nastąpiła zasadnicza zmiana polegająca na ujednoczeniu struktury organizacyjnej i poddaniu wszystkich szkół przemysłowych i zawodowych Centralnemu Urzędowi Szkolenia Zawodowego. Po raz pierwszy w programach nauczania uwzględniono zagadnienia so-

kowości rolnej. W liceach kształcą się ponad 24.000 młodzieży. Specjalne szkoły praktyków specjalistów szkołą w szerszym niż dotychczas zakresie traktorzystów, oborowych, sanitariuszy weterynaryjnych, pomocników księgowych.

Wielu uczonych polskich oraz senatorów wyższych uczelni ogłosiło listy i uchwały potępiające plany imperialistów amerykańskich grożących użyciem broni bakteriologicznej.

Teatr Polski w Poznaniu obchodzi obecnie jubileusz 175-lecia swego istnienia. Jubileusz uświetni wystawa w Muzeum Narodowym obrazująca dzieje tej placówki teatralnej, ze szczególnym uwzględnieniem działalności Wojciecha Bogusławskiego.

Z inicjatywy zakładów przemysłu bawełnianego im. Stalina powstał w Łodzi pierwszy w Polsce aeroklub robotniczy.

Polskie Radio rozpoczęło lekcje języka rosyjskiego przez radio. Prowadzone są dwa kursy: dla początkujących oraz dla zaawansowanych. Słuchacze pragnący systematycznie

korzystać z lekcji — zarejestrowawszy się — poddani zostaną pod koniec kursów egzaminom.

Marynarze pływający na okrętach polskiej marynarki handlowej otrzymali możliwość kształcenia się korespondencyjnego. Wydział kulturalno-oświatowy GAL uruchomił specjalne kursy obejmujące program szkół ogólnokształcących oraz przedmioty fachowe i problematykę społeczno-polityczną. Materiały dostarczone będą na statki pocztą lub radiem.

Szkoły województwa katowickiego i opolskiego otrzymały w darze od Społecznego Komitetu Radiofonizacji Kraju (Okręg w Katowicach), 300 nowoczesnych radiodiodników.

W podkrakowskim Lasku Wolskim ustawiony został kościółek z XVI wieku przywieziony tutaj z Komorowic k. Bielska. Jest to jeden z najpiękniejszych zabytków ciesielskiej sztuki ludowej. Ustawienie kościółka jest zaczątkiem Muzeum Skansenowskiego (muzeum etnograficzne na świeżym powietrzu) mającego powstać w Lasku Wolskim.

Film

„Nasz chleb powszedni” film produkcji niemieckiej.

Tematem filmu jest proces przystosowywania się do nowej rzeczywistości i przemian dokonywających się w społeczeństwie niemieckim bezpośrednio po wojnie. Akcja filmu odbywa się na przestrzeni 1946 r.

Scenariusz buduje dzieje mieszczańskiej niemieckiej rodziny, której sposób myślenia charakteryzuje ojciec wychowany w kulcie struktury ekonomiczno-społecznej ustroju kapitalistycznego. Rodzina ta właściwie nie została dokładnie określona politycznie. Są pokazane jej dzieje od 1946 r., okres hitlerizmu natomiast został całkowicie wyeliminowany. Nie domówiono, kim byli, jak reagowali, co robili wszyscy zaangażowani w akcję filmu ludzie w czasie wojny. Przemiany motywuje się, wyznacza tylko teraźniejszością, nie legitymując ich przeszłością polityczną.

Motywy powtarzającym się i charakteryzującym epokę jest walka o chleb.

Film przeprowadza dwie tezy: po pierwsze, że prace nad odbudową kraju i tworzeniem nowego życia prowadzi środowisko robotnicze, po drugie, że pokolenie przedhitlerowskie chociaż obciążone kultem pieniądza, tradycjami mieszczańskimi, przywiązaniem do gniącego ustroju, można przekonywać osiągnięciami własnymi w pracy nad budową nowego porządku, wykorzystując ich wiadomości fachowe.

Film opiera się na wyjaśnianiu rzeczywistości przez fakty, przez pokazywanie zjawisk i osiągnięć, mówiąc więcej o zachodzących procesach aniżeli o ludziach biorących w nich udział. Należy podkreślić, że wymowa faktów jest tak dobitna, że wystarcza, by oprzeć na niej interesującą fabułę, że interpretuje powojenną rzeczywistość niemiecką, wyraża intencje autorów.

Wydać się jednak, że błędem scenariusza wprowadzającym szereg niedomówień jest niedostatecznie precyzyjne określenie ludzi. Na pytanie kim są bohaterowie filmu, dla czego angażują się w nowym życiu albo je zwalczają nie odpowiedziano dostatecznie jasno. Z jednej strony bohaterowie filmu nie określają swojej przeszłości, z drugiej w ni-

minalnym stopniu interesują się otaczającym ich światem, nie starają się go rozumieć.

Charakterystyczne jest to, że najdobitniejszym, najmówniejszym typem człowieka jest Harry Webers, ukochane dziecko Karla. Kariera Harry'ego w armii niemieckiej była wyrażona przez rodzinę honorowana, uważa on swój udział w wojnie jako zasługę zapewniającą mu bezsporne przywileje w rodzinie (pozwała to zresztą stwierdzić, że Karl Webers nie był w czasie wojny biernie apolityczny i że na pewno nie zajmował wobec reżimu wrogiego stanowiska). Los Harry'ego, bankrutwo i załamanie jest zupełnie jasne i b. prze-konywające.

Inaczej z socjalizmem jego brata Ernsta. Ernsta dzieje wojenne są całkowicie nieokreślone, walczy on z oportunistycznym ojcem, natomiast wobec brata ta nie zajmuje żadnego stanowiska. Wzłaząc z postawą ojca równocześnie milcząco akceptuje pogardliwy stosunek rodziny do Ilzy „ubogiej krewnej” upokarzanej na każdym kroku, nie dostępującej zaszczytu zasiadania przy wspólnym stole w czasie posiłków rodzinnych. Rola Ilzy w filmie nie wydaje się w ogóle słusznie rozwiązaną. Postulowano się jej postacią jedynie do określenia stylu życia i stosunków rodzinnych nie tworząc podmiotu akcji. Dzieje jej są ślepych wątkiem zakończone w chwili jej wyprowadzenia się z domu Webersów.

Fatalnie ustawione zostały w tym filmie kobiety niemieckie. O ile w „Czterech pokoleniach” słusznie pokazano intuicyjną wrogość kobiet wobec okrucieństwa czasów hitlerowskich, o tyle „Nasz chleb powszedni” wybiera albo typy kobiet „bezmównie żadnych”, jak druga żona Webersa, albo sprytnych, przystosowujących się do każdej sytuacji, jak Niki, albo przeżywających uczuciową ewolucję, ale nieświadomie „pozytywnych” jak Inga.

Film wyróżnia się doskonałym opanowaniem rzemiosła filmowego, jasnością i dobrym użytkowaniem środków ekspresji filmowej, b. logicznym montażem i dobrą reżyserią, doskonale legitymuje poziom artystyczny powojennej kinematografii niemieckiej.

Teatr

CZWARTA PRAPREMIERA TEATRU IM. ST. JARACZA W OLSZTYNIE

Państwowy Teatr im. Jaracza w Olsztynie u schyłku przedurlopowego sezonu zdobył się na wystawienie nowej sztuki Aleksandra Maliszewskiego „Wczoraj i Przedwczoraj”. Po „Zaporze” Dybowskiego, „Błękitnym tonie” Łysakowskiej i „Sprawie Anny Koterskiej” Lubeckiego, mieliśmy możliwość oglądania w Olsztynie czwartej prapremiery współczesnej sztuki polskiego pisarza. Zasluga to niewątpliwie zarówno Dyrekcji Teatru (dyr. Surzyńskiego), jak i kierownictwa literackiego (dr Dybowskiego), które z pełnym poczuciem odpowiedzialności pełni niełatwą i ofiarną służbę w dziele upowszechnienia kultury na Warmii i Mazurach.

Ta mała wdzięczna i pionierska rola Teatru olsztyńskiego, torująca młodym i debiutującym dramaturgom drogę na sceny innych teatrów, przy równoczesnej trosce o pokazanie olsztyńskiej publiczności, oraz innym mieszkańcom województwa celniejszych utworów współczesnej naszej literatury dramatycznej, zasługuje na specjalne podkreślenie i uznanie.

Uczestnictwo autora i współdziałanie ludzi teatru w narastającym pod czas prób scenicznych kształtowaniu utworu, udział w krytycznej ocenie utworu przedstawicieli świata pracy, reprezentujących przyszytych odbiorców literackiego dzieła, sprawia niezależnie od krytyki oficjalnej, że sztuka po licznych próbach wchodzi na afisz doskonalsza, pełniejsza i lepiej spełnia swoje zadanie.

Sztuka Maliszewskiego „Wczoraj i Przedwczoraj” wyszła zwycięsko z konkursu rozpisanego przez Ministerstwo Kultury i Sztuki na polską sztukę współczesną. Z tym większym więc zainteresowaniem czekaliśmy na zapowiedzianą przez miejscową prasę prapremierę.

Napisana według nowych wskazań i wymagań sztuka Maliszewskiego ukazuje współczesnego człowieka w jego walce o lepsze jutro człowieka pracy, a w następnym etapie o ugruntowanie zdobyczy rewolucji oraz dalszą budowę i rozwój ustroju socjalistycznego.

Początek akcji ukazuje nam warszawską rodzinę robotniczą na tle stosunków z niedawną okupacyjną przeszłością. Nędzna, nieodłączna towarzysząca rodzinie robotniczej w kapitalistycznym ustroju, spotęgowana twardą rzeczywistością okupacji, nie tylko, że nie załamuje tych ludzi, ale odwrotnie, zagrzewa ich w uporze i bezwzględnej walce z okupantem.

Na tle tej walki, prowadzonej przez zdrowe moralnie, zakonspirowane podziemie robotnicze, o wolność, o nową Polskę sprawiedliwości społecznej, rysuje się stary, dogorywający świat kapitalistyczny. Świat ten reprezentuje w sztuce pozabawiony skrupułów moralnych Sobek, robiący brudne interesy z wrogiem. Sobkowi udaje się wciągnąć w swe ciemne sprawy jednego z trzech synów rodziny robotniczej, Władysława i wykorzystać jego małe wyrobienie polityczne i chęć łatwego wzbogacenia się, uczynić go powolnym narzędziem w swych rękach.

Gdy nad zburzoną Warszawą zajaśniało słońce wolności i naród stanął do odbudowy zniszczeń i realizowania form ustrojowych, o które walczyły pokolenia klasy robotniczej, Sobek i Władysław, próbujący w nowych warunkach kontynuować swój nieczyści proceder, zostali wyrzuceni poza nawias życia, odejści od zdrowego pnia rodziny i walczącego narodu. Na placu boju o nowa Polska pozostała zwycięska, zdrowa i świadoma swych zadań rodzina robotnicza, stanowiąca podstawową komórkę nowego, socjalistycznego społeczeństwa.

Zaletą sztuki Maliszewskiego, która poza walorami artystycznymi rokuje jej powodzenie nie tylko na deskach teatrów zawodowych, jest jedność miejsca, mała obsada, oraz łatwość dekoracyjna i kostiumowa. Nawet żywo oklaskiwany przez publiczność rozpościerający się za oknem efektowny fragment Trasy W-Z w pełnym biegu tramwajów i samochodów, pomysłu Józefa Zboromirskiego, nie powinien nastreczyć scenom ochotniczym zbyt wielkich trudności przy wykonaniu.

Znakomita kreacja matki stworzyła Helena Radwan-Łodzińska, nadając całej sztuce wyraz prawdy życiowej. Dziełnie sekundował jej Józef Wasilewski w roli ojca i głowy rodziny. Kazimierz Błaszczewski jako Sobek swą odrażającą postawą, jak i doskonałą grą, potrafił wywołać oburzenie widzów zarówno w stosunku do siebie, jak i przeciw reprezentowanemu przez siebie bankrutującemu światu. Wanda Bajerówna, jako Wanda, z dużym wyczuciem zagrała po ciągającą rolę kobiety-bojowca, panującej całkowicie nad swymi uczuciami tam, gdzie chodziło o sprawę. Leszek Grzmociński (Antoni), Juliusz Przybylski (Jan), oraz Józef Kozłowski (Władysław), synowie robotniczej rodziny i główni bohaterowie sztuki, mieli niełatwe zadanie odtworzenia nie tylko odrębnych charakterów i pozycji społecznych (robotnik, inteligent, lekkoduch), ale i głównego konfliktu społecznego, rozgrywanego ste na tle stosunków rodzinnych.

O ile Antoni i Jan szczęśliwie rozwiązyli swoje zadanie (z wyjątkiem banalnego i bardzo słabego zakończenia III aktu) o tyle widoczna trema Władysława w akcie I i nieopanowana przesada w geście, oraz w nie mających pokrycia psychologicznego zbyt gwałtownych wybuchach na tle rodziny, świadczyły, że aktor ten nie czuł się dobrze i pewnie w swej roli.

Niewątpliwą zaletą całości reżyserowanej przez Stanisława Miłskiego było bardzo żywe, miejscami nawet za żywe tempo akcji.

Wywołany po zakończeniu przedstawienia autor został nagrodzony nie tylko koszami kwiatów, ale i długo niemilknięcymi, serdecznymi oklaskami.

Sztuka Maliszewskiego stanowi wartościowy nabytek repertuaru Teatru olsztyńskiego i wejdzie po sezonie urlopowym na dłuższy czas na afisz teatrów w Olsztynie i Elblągu, a niewątpliwie także i na inne sceny.

POLSKA JESIEŃ

(ciąg dalszy ze str. 5-tej)

Las był tu bardzo rzadki. Całe archipelagi małych polanek. Ledwie dość cienia dla ukrycia zaprzęgów. Teren falował. Między porośniętymi wzgórzami zieleń się wilgotnie lączki, puszyste od bujnych traw. Lekki wiaterek unosił nad nimi dźwięki, srebrne pasma pajęczyn.

Samoloty nieprzyjacielskie, które od paru dni nie pokazywały się na niebie, pojawiły się znów. Były to maszyny zwiadowcze, kanciaste Storchy o powolnym, niepewnym locie. Co jakiś czas przechodziły na niedużej wysokości, zapowiadane już z daleka głośnym terkotem. Szukały nas.

Rozłożyliśmy się tu całą chybą dywizją. W tak wielkim skupieniu wojska musiał gdzieś być jakiś lekarz. Błądziłem między drzewami, zaciepiałem oficerów i żołnierzy najrozmaitszych formacji. Wzruszali ramionami. Ktoś wreszcie wskazał mi skraj otwartej kotłinki. Rzeczywiście, na ścieżce w zarostach leszczyny znalazłem tu zakurzonego Fiata, śmierzdzącego karbolem i ze znakami czerwonego krzyża na budzie. Wnętrze pudła było puste, tylko w szoferce jakiś sanitariusz spał, skulony w rogu siedzenia. Diugo musiałem tarmosić go za ramiona zanim powieki rozkleiły mu się na tyle by przepuścić wążutki błysk zdumionego i niechętnego spojrzenia.

— Gdzie jest lekarz?
— Nie ma. Pan major został z ciężko rannymi w Narolu.
— To ambulans jest bez lekarza?
— Ano bez... — odwrócił się do mnie plecami i zaczął moczyć się do dalszej drzemki.

— Słuchajcie no, ktoś tu musi być kierownikiem tej trupiarni. Potrzebuję pomocy dla rannego.
— Jest pan plutonowy, felczer, ale gdzie poszli z szoferem.
— Gdzie go szukać?
— Ja wiem? Pan plutonowy nie nie mówił. — Tym razem sanitariusz uważał temat za definitywnie wyczerpany. Podkuł pod siebie kolana, zamknął oczy. Przeszłem dla niego istnieć.

— Umiecie chyba założyć opatrunek? — krzychałem mu nad uchem. Ale nie reagował najmniejszym nawet skurczem twarzy.
Wtem usłyszałem za samochodem jakieś głosy. Byli to plutonowy i szofer we własnych osobach. Musieli nadejść dopiero co i właśnie zajęci byli przeliczaniem jajek, które felczer wydobywał po jednym z torby przenośnej apteczki. Spojrzenia, którymi mnie przywitali mówiły nie dwuznacznie, że nie jestem tu mile widziany.

— Mam rannego panie plutonowy — zacząłem bez wstępów — proszę za mną.
— Co mu jest? — mruknął, nie ruszając się z miejsca i chowając przecznie torbę za plecy.
— Postrzał w udo.

Machnął lekceważąco ręką. — Najlepiej niech go pan odeśle do wsi — rzekł — ludzie się nim zaopiekują. Najlepiej niech pan tyle nie mówi, tylko idzie ze mną — odparłem, czując jak twarz zapada mi się z gniewu.
Tluste policzki poczerwieniały mu, podrzucił głowę jak ukąszony, ale spojrzawszy mi w oczy przełknął jakieś porywe słowa, opuścił powieki z zażenowaniem.

SPROSTOWANIE

W nr 34 (248) naszego pisma ukazał się wiersz Antoniego Podsiada pt.: „Po sześciu latach“, w którego czwartej strofie, szóstym wierszu zamiast „most z westchnień“ wstawiono omyłkowo „most z westchnieniem“.
Prostując błąd korektorski przepraszamy Autora i Czytelników. (Red.)

PROŚBA

Ob. Mieczysława Litwajłisa, autora listu w sprawie mojej noweli pt. „Pierwszy wypad“, umieszczonego w tygodniku „Dziś i Jutro“ w rubryce „Czytelnik ma głos“ z dnia 21.III.1948 proszę o łaskawe nadesłanie wiadomości o swym miejscu zamieszkania, bowiem pod adresem podanym mi przez redakcję „Dziś i Jutro“: Polanica-Zdrój, ul. Górzysta 8, autor listu jest zupełnie niezłany.
J. B. Ożóg

Kraków, ul. Krupnicza 22 m. 26

— Nie mam narzędzi, panie podchorąży; wszystko zostało w Narolu. Mówiąc to otwierał już jednak drzwi auta. Przez chwilę grzebał w jego wnętrzu, a kiedy wynurzył się ponownie, zwisająca mu z ramienia torba wypełniona była właściwą zawartością. — Dyżurnek i opatrunek, to wszystko co mogę zrobić — powiedział.

Cwałina leżał spokojnie na rozścielonych przez kolegów płaszczach. Zdawało się że śpi, ale z bliska widać było, że mięśnie wokół ust i na policzkach drgają mu drobno.

— Bardzo mnie boli — szepnął, kiedy wraz z felczerem pochyliliśmy się nad nim. Plutonowy zabrał się do oględzin z wielką zręcznością. — Będzie boleć jeszcze bardziej przy transporcie — rzekł — to nerw. Trzeba by wyjąć kulę...

— Niech go pan weźmie do swojego lazaretu — zaproponowałem — idzie pusty.

Skrzywił się sarkastycznie. — Nigdzie już nie pójdzie. Benzyna się skończyła. Tak, tak, marny los być teraz rannym — dodał z westchnieniem. — Niech no który skoczy po wodę — zwrócił się do zaginionych kanonierów — umyjemy.

— Słuchajcie Cwałina. — rzekłem kiedy felczer oddał się, zrobiwszy opatrunek — o kilometr stąd jest wieś. Moglibyście zostać w jakiejś chałupie. Mówiłem już o tym z porucznikiem Redyczem. Inaczej trzeba was będzie wieźć na wozie. Będziecie bardzo cierpieć. Nie wiadomo kiedy zdobędziemy jaką pomoc dla was.

Twarz rannego skurczyła się. — Nie, panie podchorąży, nie, proszę! Tu wszędzie naokoło banderowcy. Ja wiem. Ja się boję. Nie zostawiajcie mnie... proszę... — jego oczy napełniły się łzami. — ...na miłość boską, panie podchorąży!

— Dobrze, już dobrze Cwałina. Uspokójcie się, pójdę do pana porucznika żeby mi przydzielił wóz dla was.

Najważniejszą instancją był jednak Misiąg. — Łatwo powiedzieć:

„daj pan wóz“ — rzekł, rozglądając się po naszym niedznym tabore. — Te dwa są amunicyjne, ten przykuhenny, na tamtym jedzie sprzęt topograficzny zwiadu.

— No, a ten panie ogniomistrz? Spojrzał z niepokojem w kierunku, który wskazałem mu palcem. — O nie, tego panu nie dam.

— Dlaczego?
— To moja sprawa dlaczego. Nie mam potrzeby panu tłumaczyć.
— Ale ja mam rannego, to chyba ważne.

— To zostaw go pan we wsi, panie podchorąży.

Moja antypatia do tego koszarowego charta skondensowała się nagle w nienawiść. Spojrzałem na rzędy orderowych wstążeczek, patrząc jego elegancki tors i to rozjątrzyło mnie do reszty. Wiedziałem, że nie ustąpię, choćby nie wiem co.

— Nie zostawię, panie ogniomistrzu — rzekłem, siłąc się na spokój. — Proszę o wóz.

Zmrużył niewinnie oczy. — A ja panu tego wozu nie dam, bo to mój wóz.

— Co to znaczy: pański wóz?
— Co to znaczy, to znaczy, panu nie do tego.

Wysiłek miarkowania głosu sprawiał mi ból, podobny do zbyt długiego powstrzymywania oddechu.

— Niech pan przełoży swoje graty na inny — rzekłem.

Misiąg pierwszy stracił panowanie nad sobą. — Graty! — wrzasnął. — O, tego już za dużo. Pan zapomina z kim pan mówi. Jestem pańskim przełożonym, tak czy nie? Powinien pan bić kopytami przedemną, do cholery. A pan przychodzi sobie jak do kolegi i każe mi przekładać „graty“. To jest dyscyplina! Nie odstanie pan wozu i nie gadam z panem dłużej. Pan porucznik też panu nie pomoże. Ja rzadzę taborem i konie.

— No dobrze, nie będziemy już gadać więcej — rzekłem mu przez zaciśnięte zęby odchodząc. — ale wóz dostane przede mną pan myśli.

Wróciłem po chwili z jeźdźcami

— Dobrze, — powiedział Misiąg łamiącym się z oburzeniem głosem — idę zaraz po porucznika Redycza. — Biorę was na świadków tego co zaszło — zwrócił się do kilku taborytów, przyglądających się z satysfakcją awanturze. Znikł w krzakach, a my zabraliśmy się pośpiesznie do roboty. Z pod siana wynurzyła się kraciasta pierzyna, potem stos nowych, poskładanych w kostkę koców. Pyrych wygrzebał wielki zwój kielbasy. — Ot, co tu ma — dziwił się, — a my chodzimy głodne! — Kud wyrzucił ciężkie polcie słoniny, worki sucharów, konserwy. — Gadał jucha, że nie ma, a o: wino! — Na końcu wydobyliśmy spod siedzenia tekturowe pudło ze wspaniałym odbiornikiem Philippsa w środku. Aparat pochodzić musiał wprost ze sklepu, nie zdarto nawet z forniru kartki z cena.

— To wszystko prywatna własność pana szefa — poinformowałem taborytów, z trudem tłumacząc drżące złośliwego śmiechu w głosie. — Pilnujcie dobrze, żeby mu co nie zginęło zanim wróci. My tymczasem przyniesiemy rannego.

(D. c. n.)

Guy de Maupassant

(Dokończenie ze str. 3-ciej)

Miss Harriet z noweli, pod tymże tytułem w ciągu 50 lat swego życia nie zaznała nigdy szczęścia miłości, a gdy ostatnia próba zwyciężenia złowrogo fatalizmu losu skończy się rozczarowaniem, biedna stara panna nie przetrzyma tej nowej klęski swoich nadziei, popełni samobójstwo.

I tak jest niemal zawsze u Maupassanta i byłby niewątpliwie ten pesymizm niemożliwym do zniesienia, gdyby nie łagodziło go uczucie autora. Bo w istocie rzeczy ta świadomie, programowo założona niewzruszoność, oschłość pisarza, który pragnie być wyłącznie obiektywnym kronikarzem i rejestratorem nagiej prawdy i niczym więcej, jest tylko świetną, ludzącą maską, pod którą bije współczujące serce. I to uczucie litości wobec ludzkiego cierpienia, dyskretna, wstydliva, ale głęboko współczująca solidarność Maupassanta z tłumem zawiedzionych i rozczarowanych istot, którym załudnił stworzoną przez siebie rzeczywistość, one to sprawiają, że mimo pesymistycznej koncepcji świata dzieło pisarza nie obezwładnia, nie rozbraja moralnie, nie zachęca do kapitulacji wobec zła, lecz brzmia w nim tony szczerego, głęboko ludzkiego protestu.

IV

Wymierzyć sprawiedliwość pisarzowi - naturalistę jest rzeczą szczególnie trudną. Mało który kierunek literacki nagromadził bowiem w teorii i w praktyce tyle nieporozumień, fałszów, naiwności, a nawet oczywistych nonsensów, co naturalizm. Aczkolwiek Maupassant w swej drodze twórczej okazał wiele samodzielności i nie podzielał w wielu wypadkach złudzeń swych współczesników, to jednak i on nie uniknął błędów i pomyłek. Współczesny odbiorca literacki, poszukujący w dziele sztuki pisarskiej rzeczowej prawdy o świecie, zgłosić by musiał wiele zastrzeżeń wobec obrazu życia wyrażone jednostronnie, a zatem niepełnego. Czytelnik katolicki wysunie bez wątpienia poważne obiektywne uwagi ze względów zasadniczych wobec dzieła, które całe wyrasta z przesłanek absolutnie laickiego rzecze by można pogańskiego światopoglądu. A jednak mimo tego trudno nie przyznać, że z najświetniejszych kart pism Maupassanta niewątpliwie jakiś urzekający czar. Nie go-

dzimy się z autorską interpretacją świata, spieramy o punkt widzenia, a jednak poddajemy dojmującej sugestii i ekspresji poszczególnych fragmentów, scen, sytuacji tego wielkiego dramatu życia, co przewija się poprzez dzieła pisarza.

Tajemnica trwałej poczytności Maupassanta leży w wysokiej klasie jego sztuki. Władca on po mistrzowsku pełnił środków artystycznego wyrazu. Odbardzony przez naturę wyjątkowo bystrą zdolnością postrzegania i wnikaną w sedno rzeczy potrafi w genialnym skrócie przedstawić najbardziej skomplikowane sytuacje życiowe. Jego postacie mają zmysłową niemal, trójwymiarową pełnię kształtu, bo autor umie wywołać plastyczną wizję przedmiotu często jakimś jednym tylko krótkim zdaniem, jednym niezawodnym słowem, jedną metaforą, w danym wypadku trafiającą w istotę rzeczy z absolutną, bezbłędną intuicją. Jego sztuka pisarska święci najwyższe triumfy w krótkim opowiadaniu. Obok Poego i Czechowie jest Maupassant najwybitniejszym mistrzem noweli w literaturze światowej ostatniego stulecia. Jego twórczość nowelistyczna reprezentuje wyjątkowo czysty, klasyczny w swej nienaganej architektonice typ gatunku. Koncentracja przedmiotu w krótkiej zasadniczej sprawie z wyłączeniem wszelkich elementów artystycznie zbędnych, jednorodność akcji, doskonała spójność i konsekwencja kompozycji, dynamika podtrzymująca napięcie uwagi aż do punktu rozwiązania, mistrzostwo w operowaniu pointą — wszystkie te znamiona konstytucjonalnie klasycznej noweli występują u Maupassanta w wyjątkowo pełnym ześpolu. Tym wysokim walorom artystycznego ukształtowania wtóruje styl i język zadziwiająco prosty, prosty, konkretny i rzeczowy, stroniący od patosu i ekstrawagancji leksykalnych, będący naturalnym i jedynie właściwym odpowiednikiem tej prozy życiowej, która jest tematem wszystkich dzieł pisarza. Gallicki zmysł ład, harmonii i jasności przejawiał się w twórczości Maupassanta raz jeszcze z wyjątkową siłą i konsekwencją, nie więc dziwnego, że lektura utworów tego świetnego pisarza dostarcza tyle zadowolenia i satysfakcji czytelnikowi wrażliwemu na estetyczne wartości dzieła literackiego.

Artur Hutnikiewicz

BATALIA O TERAŹNIEJSZOŚĆ

dokończenie ze str. 1

alnie najbardziej potrzebnym rodzajem twórczości, właśnie przez konieczność odpowiedzi na pytania, tkwiące w jego założeniach, a dziś bezwzględnie pierwszoplanowe. O ile pierwszy z wyżej wymienionych typów powieści jest szeroko rozposzechniony, o tyle drugi jest u nas niemal że niezłany. A właśnie ten drugi typ, ukazujący nowego bohatera w perspektywach historycznych a równocześnie w kategoriach światopoglądu katolickiego, nieodłącznie związany z badaniem prawdy historycznej czasu, charakteryzujący się typowością obrazów i postaci, realizmem w widzeniu świata, może się stać najsilniej oddziaływającym współtwórcą życia.

5.

Przełom społeczny i kulturalny, będący istotą naszych czasów, wymaga likwidacji wielu zastarzałych bezpodstawnych, ale trudnych do usunięcia uprzedzeń, przekonań i poglądów. Walka z pozostałościami płytkiej, mieszczańskiej religijności stojącej na pograniczu fideizmu, zajęcie miejsca wśród współtwórców nowej rzeczywistości, sprecyzowane wobec niej stanowisko: to kolejne etapy walki o terażniejszość.

Wymagają one przygotowania, którym będzie ustawicznie rosnące doświadczenie społeczne pisarza katolickiego, jego pogłębiająca się wiedza filozoficzna, gruntowne poznanie wyznawanego światopoglądu.

I jeszcze jeden czołowy aspekt zagadnienia. Katolicy polscy współbudują podstawy socjalizmu w kraju, biorą czynny udział w pracy robotników i chłopów polskich. Ich twórcza praca, ich walka o pokój, nie może być dokonywana poza sferą ich światopoglądu, w izolacji od tego światopoglądu czy nawet w pozornej z nim sprzeczności. Trzeba dać książki o konkretnych ludziach, którzy znajdują nić porozumienia właśnie na płaszczyźnie wspólnej odpowiedzialności za swoją pracę, za swój wkład w ogólny polski proces odbudowy i rozbudowy. Pierwsze próby nie uczynią cudów. Ale będą konfrontacją poglądów i postaw, poszukiwaniem właściwego punktu widzenia, właściwego i twórczego miejsca w terażniejszości.

W warunkach przejściowego kryzysu ideologicznego katolickiej powieści polskiej, zdobycie współczesności dla tematyki literackiej oznaczać będzie właśnie likwidację tego kryzysu.

Zbigniew Kubikowski

Redaktor Naczelny: Bolesław Piasecki. Komitet Redakcyjny: Jerzy Hagmayer, Dominik Horodyński, Wojciech Kętrzyński, Janina Kolendo, Mieczysław Kurzyński, Konstanty Łubieński, Andrzej Micewski, Zygmunt Przetakiewicz, Ryszard Reiff, Jan Szykowski.

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p. Konto PKO — Nr 1-727

Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz wtorków i czwartków godz. 12 — 13.

W y d a w c a : Kolegium Redakcyjne. Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalnie 180 złotych.

Druk. Skolimowska 5.

B-126670